

NON STOP

Nr 12/195/ rokXVII • grudzień 1993 • 110 zł

sex pistols

patti smith

fela kuti

the smiths

refleksje artystki



Angie Bowie

... miss Anglia A.D.1066

Skoro mój były mąż mógł ze swym płaczącym głosem i nędzną posturą zdobyć aż taką popularność — pomyślała pewnego razu Angie Bowie — ja również będę gwiazdą. Śpiewam nie najgorzej, natomiast uśmiechu i urody mogłyby mi pozazdrościć Mandy Smith, Kim Wilde, a nawet ta mała lisica Sammy Fox...

słuchamy czytamy, oglądamy...

Siódma pozycja w katalogu wydawnictwa Pusty Obłok to „Zen w sztuce lucznicstwa” Eugena Herrigela, w tłumaczeniu Michała Kłobukowskiego. Dwie następne to: **David Bohma** „Ukryty porządek” (tłumaczył Michał Tempczyk), oraz **Tadeusza Doktora** „Taiji”.

Spójna propozycja światopoglądowa wydawnictwa Pusty Obłok jest wyrazem szeroko rozumianej alternatywy myślenia i działania. W książkach tych znajduje swe dopełnienie i kontynuację. Łączenie koncepcji filozoficznych Wschodu i Zachodu jest wyrazem nieustannej metamorfozy. Strumień przemian nie ma początku ani końca. Spróbuj się w nim zanurzyć.

Jifi Langer, „9 bram do tajemnic chasydów”, przełożyła z angielskiego Anna Gołewska, wydał Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK. Niesłychanej piękności opis zaginionego świata, wzbogacony w polskiej wersji cytatami z Pisma Świętego w tłumaczeniu Izaaka Cyłkowa, pierwszego kaznodziei Wielkiej Synagogi na Tłomackim.

Był kiedyś taki świat, który nie miał granic, a rozlegał się pomiędzy Ziemią a Niebem...

Roderyk Lange, „O istocie tańca i jego przejawach w kulturze. Perspektywa antropologiczna”. Polska wersja wydanej najpierw w Londynie (w 1975 roku) pracy na-

ukowej. Jak pisze autor w przedmowie „jest rzeczą znamioną, że wciąż jeszcze tak mało wyciąga się wniosków z wyników osiągniętych przez antropologię kulturową, dla zrozumienia naszego życia współczesnego w środowisku zurbanizowanym”.

Teraz, gdy mamy już podręcznik, może doczekamy się sensownych opisów **pogo, slam-dance**, itp. Chociaż okazuje się ostatnio, że obrońcy naukowego światopoglądu (czytaj: polscy publicyści i dziennikarze pisujący o kulturze) niewiele mają wspólnego z nauką i kulturą. Ale wciąż mają szanse...

Książkę wydało Polskie Wydawnictwo Muzyczne (Kraków) 1988.

nadzieja w voo voo!

Po październikowych koncertach w Zurichu, listopadowych w Związku Radzieckim, Voo Voo przymierza się teraz do podboju Danii. W międzyczasie odbyło trasę koncertową po kraju, promującą płytę *Małe Wu Wu*, a w studio S-4 nagrało dla RH dwie piosenki, znane już publiczności koncertów zespołu.

Voo Voo, wzmocnione kolejnymi braćmi Pospieszalskimi: Marcinem (Young Power) i Karolem (altowiolista), przygotowuje się do nagrania płyty z kółkami. Koncepcja jej jest gotowa od dawna — pół materiału już zarejestrowaliśmy. Nagrania chcemy dokończyć w studiu w Wiśle. Jeśli się nie uda — wydanie płyty planowane jest dopiero jesienią przyszłego roku — to i tak przed Świętami kilka utworów przedstawimy na antenie PR.

Tymczasem Wojciech Waglewski i zespół zbierają pochwały za muzykę do filmu Tadeusza Pałki *Nadzieja*, który otrzymał Nagrodę Specjalną Jury — „Srebrny Lajkonik” — na tegorocznym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie i Nagrodę Główną — „Srebrny Smok” — na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych, także w Krakowie. Jest to współczesny dokument, bez słowa komentarza. *Bardzo to smutny obraz, bo też i rzeczywistość, którą analizuje, głównie budzi zażenowanie. W takiej sytuacji jesteśmy, do tego miejsca w tabeli zjechalismi i nie reżyser z operatorem są temu winni. I nie oni też twierdzą, że jedyna tytułowa nadzieja, to zapakować malucha i przylepić na szybie „PL”, czego na granicy wymagają. Film tylko notuje, nie komentuje ludzkich ocen (...)* (Tadeusz Robak w „Gazecie Festiwalowej”). Muzyka pełni w nim istotną rolę. Ostra, rytmiczna, drażniąca na zmianę ze ściszoną, lecz również dramatyczną, wyko-

Voo Voo we mgle

FOT. M. MAK



rzystującą motywy sakralne. ... ta mozaika pełnych ekspresji obrazów polskiego dnia codziennego Anno Domini 1987 staje się całością nie tylko dzięki montażowi, co wspaniałej muzyce W. Waglewskiego i zespołu Voo Voo. Ten film wyraźniej niż inne ukazuje rolę muzyki na ekranie. (Adam Komorowski w „Gazecie Festiwalowej”).

Tak trzymać!

(jb)

odszedł poeta

Zmarł Kazimierz Gayer (ur. 1953 r.) wieloletni kierownik artystyczny grupy Dżem, autor tekstów m.in. tak znanych przebojów zespołu jak „Paw”, „Whisky”, „Człowieku, co się z tobą dzieje”, „Abym mógł przed siebie iść”, „Kiepska gra”. Rak pochłonął kolejną ofiarę... (MJ)



Roy Buchanan na długo przed śmiercią

śmierć

Roy Buchanan nie żyje. Wybitny gitarzysta blues-rockowy, jeden z tych, którzy dali początek brzmieniowym eksperymentom podjętym później przez Erica Claptona, Jeffa Becka i Jimi Hendrixa, odebrał sobie życie. Do tragedii doszło czternastego sierpnia w miejscowości Fairfax w amerykańskim stanie Virginia. Buchanan, od lat pogrążający się w alkoholizmie, wypił tego dnia więcej niż zwykle. Nie panując nad sobą, rzucił się na żonę, pobił ją. Na jej prośbę został kilka minut po godzinie dwudziestej drugiej zatrzymany i osadzony w areszcie. O godzinie dwudziestej trzeciej szesnastu strażnicy stwierdzili, że powiesił się na własnej koszuli. Zyl jeszcze, kiedy przewieziono go do szpitala miejskiego. Zmarł o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt dziewięć. Alkohol wywalał w nim besie — przyznają ci, którzy go znali. Dodają jednak: *W rzeczywistości był człowiekiem pokojowo nastawionym do świata. Pragnął, by jego muzyka uspokajała słuchaczy.*

Buchanan uważał, że ma powody do rozgoryczenia. Nie potrafił jednak pokierować swą karierą, nadać jej rozmachu. Świadom nieprzejętych umiejętności, odrzucał propozycje nie do odrzucenia. Mógł zająć miejsce Briana Jonesa w The Rolling Stones. Nie skorzystał z tej oferty. Uważał — i miał oczywiście rację — że członkowie brytyjskiej grupy nie dorównują mu jako instrumentalści. Nie chciał się im podporządkować. Zachował niezależność. Nie umiał jednak zadbać o rzeczywiste atrakcyjny repertuar, dobrać sobie równorzędnych partnerów.

Zostało po nim dwanaście dużych płyt i kilka czy kilkanaście singli. Niewiele jak na czterdzieści osiem lat życia i trzydzieści trzy lata kariery estradowej. Niewiele... **ZO-SO**

awanturnika

SŁOWO MA ODPOWIADĄC RZECZYWIŚTOŚCI. Takie przynajmniej jest założenie informacji i komunikatów. Jednak nie znaczy to, że taka sama relacja zachodzi w odwrotnym kierunku. Bowiem *rzeczywistość* nie odpowiada słowom przytaczanym jako świadectwo naszej sytuacji kulturowej. Weźmy jako pretekst organizowany corocznie przez klub Remont przegląd *Poza Kontrolą*. Większość słów, jakie wypowiedziano, albo napisano przy okazji tej imprezy nie odpowiada rzeczywistości. Owe wieczorne spotkania przyniosły pytania. Powtórzmy je teraz, bo wiem odpowiedzieć, zgodnie z tradycją naszej rockowej publicystyki, nigdy nie padają. Może ich po prostu nie ma?

1. *Dlaczego przedstawiciele rodzinnej fonografii nie słuchają występów młodych zespołów?* Ponieważ z publikacji prasowych wiemy, że nie ma czego słuchać. A że w rzeczywistości są — istnieją grupy, które przekazują swoje wizje świata — tym gorzej dla nich. Przykłady takie jak Los Lovers, Opozycja, No Smoking, Blitzkrieg, czy DHM to wyjątki potwierdzające regułę sprawczej mocy pisanego słowa: tego po prostu nie ma. A dlaczego? To już pytanie

2. *Dlaczego dziennikarze tzw. muzyczni nie słuchają występów?* Bo wiedzą (z własnych publikacji), że nie ma czego słuchać. Bo i tak nie słuchają, tylko hałas. Dźwięki zlewają się w jeden strumień, w jedną ścianę, oddzielającą wykonawców — twórców od ich sztuki. A dlaczego? To kolejne pytanie

3. *Dlaczego realizatorzy (kiedyś mówili się — reżyser nagrania) awansowali do roli nagłośniaczy?* „Realizator” — słowo to oznacza tego, który „urzeczywistnia”. Czyli kolejna postać, która powinna pracować w rzeczywistości. A że tak nie jest... No cóż, dzisiejsza rzeczywistość

zadaje nam zupełnie inne pytania niż te, które wynikają z władzy sądenia, czyli z rozumu. Albowiem wszystko to *bezzrozumne* takie.

W końcu roku, spoglądając na minione dokonania, powiedzmy wreszcie sobie i innym: **Daremny to trud i wysiłek, daremne poświęcenie życia dla sprawy, której na imię rock.** Musisz wiedzieć, że jeśli chcesz wziąć udział w tej maskaradzie, której na imię Kultura, zacznij od siebie, powiedz **NIE** temu wszystkiemu, o czym marzysz i co ci się wydaje. Ten szatański plan — negacja istnienia — ma u nas historyczną tradycję, wmontowaną na stałe w model kulturowy.

Atmosfera narkotycznego rocka 1988 jest *mroczna i ponura*. Przypominają się czasy zimnych lochów w zamkach o grubych murach i tysiące skazanych na niełaskę przez możnych. Nie dlatego, że brak nam dobrych zespołów. Wręcz przeciwnie, jest ich dużo, aż za dużo jak na nasze warunki finansowe. Również ich poziom w ciągu kilku ostatnich lat podniósł się znacząco. Na ogół polscy muzycy prezentują zupełnie zadowalający warsztat. Znaczenie gorzej jest z ich twórczością. Dominuje niestety *miernota i wtórność*. Szczególnie młodym zespołom jest niesłychanie trudno odnieść swoją sztukę do twórców poprzedników. I tu ciekawostka — można bez słuchania klasyfikować zespoły z *jednego* miasta do tego samego rodzaju muzyki (Hari Krisna — Kontrola W., Los Lovers — wrocławski spleen).

Lochy i chłód to również odpowiednie rzeczowniki, aby określić nastroje koncertów. Najstraszniejsza jest wszechogarniająca *frustracja*. Panuje ona zarówno wśród publiczności, jak i artystów. Młodzi i nieorientowani odbiorcy bardzo szybko przesiadają dołującą atmosferę

imprez. Pętają się smutni z kąta w kąt, nie próbują nawet podejść do kogoś i porozmawiać. Wymieniane są jedynie *nienawistne spojrzenia*. Wszelkie uczucia toną w papierosowym dymie. Mało jest spontanicznych reakcji, a te, które się zdarzają, dotyczą raczej zachowania lub wyglądu artystów, nie zaś ich sztuki. Sami artyści natomiast, pozbawieni nadziei na jakikolwiek kontakt, grają dla siebie, bez przekonania. Na szczęście są ludzie, którzy potrafią z tego wszystkiego zapisać (Lubomski Nareszcie). Wyśmiać natchnionych oszustów i zakreconych frustratów. Podobnie zachowują się wierni tej muzyce *dziennikarze*. Ponieważ mało co może ich zaskoczyć, a we wszystkich koncertach biorą udział ciągle ci sami „młodzi gniewni”, recenzje można pisać bez wychodzenia z domu.

Schemat: chcesz się czegoś dowiedzieć, lecz nie masz gdzie. Czytasz od lat te same opinie i poglądy. Włączasz radio — a tu *subkultura* coraz wyraźniejsza. Idziesz na koncert i nie rozróżniasz słów, ani nawet języków, w jakich słowa te się rozlegają. (Dopytywanie się o płyty możesz sobie od razu darować, bo jeśli nawet zamówionych by było i sto tysięcy, wydzielę tyle, ile okładek będzie można wydrukować przy ograniczonym przydziale papieru). I tu przykład najbardziej znaczący: oto całkiem niedawno, przed kilkoma tygodniami ukazała się w warszawskich księgarniach płyta z napisem: *Voo Voo żegna rok 1986*. Pytanie o to, gdzie jesteśmy — albo jeszcze lepiej: kiedy? — ma dziś przerażający i jakże rzeczywisty sens. A życzenie, aby rok, który nadejdzie, był rokiem przyszłym, jest tak samo pobożne jak i *darmne*.

**ADAM GRZEGORCZYK
& DR AVANE**

I da chwilę trudne. Zima, ciemność, te rzeczy. Budzą się miłośnicy symfonicznego rocka. Nie jest dobrze. Panienci w domach, faceci mało elegancyści. Pora je sionki.

Szaro. Smutno. A do tego jakiś nowy rok, refleksje. Co chcieliśmy zrobić przez ten, ubiegły. A co z tego wyszło naprawdę.

Obrzydliwość. Bilans nie wypada pomyślnie. I tak sobie myślisz — w przyszłym roku wszystko zmienie, poprawię, ulepszę, dokonam. I wiem — że tak nie będzie.

Nie do końca.

I mówią nam — w przyszłym roku będzie już dobrze. Płyty przestaną trzeszczeć, koncerty — dobrze nagłośnione, tanie, i będą na nich grać wszyscy, ci — z plakatu. A jeśli przypadkiem ktoś nie zagra — zwrócą wam część należności za bilet. Albo — za cały bilet. Się należy.

I może oni tak naprawdę myślą (choć ja im nie wierzę), że będzie dobrze. Dlatego, że oni chcą dobrze. Dla nas. Bo oni wiedzą co jest dla nas dobre. A tylko my — my im utrudniamy realizację tego. Oni są OK — my — nie. To nasza wina, że.

Dość. Dość! DOŚĆ!

Nie nawołujemy do buntu, powstania czy innej rewolucji. Apelujemy o **zorganizowany**

bierny opór. Nie krzywdząc nikogo — nie zgadzając się. Jak u Gandhiego. Gdy coś jest nie tak, jak wam obiecano — nie godźcie się. Jeśli program imprezy nie zgadza się z plakatem — żądajcie, grzecznie ale stanowczo, **zwrotu należności za bilety**. (Patrz NS nr 10/88)

Nie dotrzymano zawartej z wami umowy finansowej.

Takie coś jest

OSZUSTWEM

a więc: **przestępstwem**. Handlowym bezprawiem. Możecie, musicie się na to nie zgodzić. Takie jest wasze prawo.

Jeśli płyta trzeszczy — odsyłajcie ją do producenta. Listem poleconym, wartościowym. Żądajcie zwrotu pieniędzy.

Jeśli kapela wchodzi na scenę pijana — to samo. Oni was obrażają takim zachowaniem. Nie dają wam tego, za co zapłaciliście. **Nie wywiązują się z zawartej z wami umowy.**

Jeśli coś nie jest tak, jak być powinno, mówcie to. Głośno, wyraźnie. Zakładajcie Oddziały Federacji Konsumentów Rocka. Organizujcie się, jeśli nie macie wystarczającej odporności, aby walczyć samemu. Próbuje kupować bilety zbiorowo i żądajcie zniżki — cena hurtowa powinna być niższa niż cena detaliczna. Im się to w końcu powinno opłacać — to ich interes, nie wasz. Wy — zawsze możecie pójść na inny koncert. A jeśli nie będą chcieli się na to zgo-

dzić — **nie chodźcie na ICH koncerty**. Nie słuchajcie ICH muzyki. Róbcie swoją. I zapraszajcie swoich przyjaciół. I ich przyjaciół. I przyjaciół ich przyjaciół. Ale nie kupujcie ICH muzyki.

Róbcie swoją. Wtedy będą musieli skapitulować. Kiedyś, po długim i trudnym oporze — skapitulują.

Bo to **ONI są dla NAS** — a nie MY dla NICH! Stałe to sobie przypominajcie.

A zacznijcie już dziś. Nie w przyszłym roku. Już Teraz.

W przyszłym roku musimy już wygrać.

M.M.

PS. Przypomnijcie sobie punk, tamta rewolucję. Gdy wokół szalało disco. Boney M., Edward G., dobrobyt, konformizm i inne brzydkie rzeczy. Gdy różni Władzi Prezesi zakazywali Rocka, punka i temu podobnej zgłizdizny.

Ktoś wtedy był w piwnicy. Dwóch, trzech. Wymyślali swój format. Swoją muzykę.

Wypinali się na rzeczywistość. Na moznach tego świata.

I mówili: **róbmy swoje**. Zerwijmy z ICH szotbiznesem. Z ich za... biznesem. Fuck the Queen! To ONI nie mieli przyszłości, nie punk. To dla NICH było hasło, nie dla WAS!

No future for you and me?

Zróbmy teraz to samo.



Wolf Spider

... imprezy...

● Podczas „Rawy Blues” zarejestrowano **Stowarzyszenie Miłośników Muzyki Bluesowej**, którego prezesem honorowym został Tadeusz Nalepa, zwyczajnym — Irek Dudek, a jego zastępcami — Jan Chojnacki i Krzysztof Gluch. Tuż po zaistnieniu Stowarzyszenia skupiło ok. 800 członków z całego kraju. Może jeszcze w tym roku ukaże się folder z wykazem ośrodków, gdzie można posłuchać (na żywo lub z płyt) starego, dobrego bluesa. *Nie chcemy działać „nakazowo”, lecz podpowiadać kogo prezentować, gdzie i w jaki sposób*, mówi prezes Dudek. Stowarzyszenie znalazło schronienie w Wojewódzkim Ośrodku Kultury, ul. Plebiscytowa 36, Katowice, tel.: 57-10-17 w. 214 ●

... fonografia...

● Po sześciu latach działalności poznańska formacja **Reportaż** (Andrzej Karpiński — dr, voc; Arek Dąbrowski — p, kbd; Paweł Paluch — xyl, fg; Piotr Łakomy — b, perc) doczekała się swej pierwszej krajowej płyty, którą wyda Tonpress. W swej dyskografii Reportaż ma już liczne składanki, wydane w latach 1985-86 przez niezależne firmy Francji, USA, Belgii i Wlk. Brytanii. ● *Ciesz się, nic się nie dzieje* to tytuł

składaka studyjnego z nagraniami zespołów: Kosmetyki Mrs Pinki, Aurora, Yanko, Ziyu, Zoilus, Bry-Turbo



ACHTUNG! W NS pracują sami ludzie, nie więc dziwnego, że zapomnieliśmy o tak drobnym fakcie, jak brak kategorii **WOKALISTKA** w zamieszczonym w ub.m. kuponie plebiscytu **NAJPOPULARNIEJSI W 1988 ROKU**. Wy o wokalistkach nie zapominać i przysyłajcie propozycje plebiscytowe do 24 bm.

gady Miłości i Cold War przygotowywanego do wydania przez Tonpress, który — po likwidacji singli — w ten sposób zamierza nadal promować młode zespoły. ● *Queen Is Dead* to najlepszy longplay wszechczasów w opinii czytelników New Musical. Wydany dwa lata temu krążek **The Smiths** wyda za kilka miesięcy Tonpress. ● W pierwszym półroczu 1989 r. Tonpress planuje wydanie, z myślą o publiczności przeglądów *Poza kontrolą* i *Róbrege*, płyt: *Edge Of Reggae*, który firmują **Twinkle Brothers And Friends**, *Lonely Is An Eyesore* — składak wykonawców wytwórni 4 AD: Colour Box, Wolfgang Press, Dead Can Dance, Clan Of Xymox, This Mortal Coil i Cocteau Twins, którzy ponadto przedstawiają się na longu *Treasure*. ● Natomiast fanom heavy metalu ta sama firma zaoferu-

je longi: *Metalszok* — koncertowe nagrania zespołów Kat, Hammer, Turbo, Destroyer, Stos, Wilczy Pająk etc. i Atomkraft — 11 utworów wydanych w minionych latach na dwóch mini-LP ●

... nasi za granicą...

● W styczniu 1989 r. grupa **Turbo** przystąpi w Berlinie Zach. do nagrywania longu, z nowym materiałem, dla firmy Noise Records. Czyżby wreszcie światelko w tunelu dla polskiego rocka? ● **Nocna Zmiana Bluesa** podczas trasy po RFN dwukrotnie wystąpiła w tzw. koncertach radiowych sieci WDR, jak również w programie telewizyjnym tej samej sieci w Kolonii (live). Po występach w Holandii i CSRS przygotowuje się do wyjazdu do Zimbabwe (dwa tygodnie w styczniu), a następnie znów do RFN. Natomiast w grudniu weźmie udział w poznańskim konkursie *Zaczarowany świat harmonijki*. W planach nagranie dwóch longów. ● W październiku grupa **BAJM** udała się ponownie na koncerty do USA. ● Wbrew pozorom wszystkie trzy formacje **Ireneusza Dudka** nadal działają, chociaż ze względu na większe koszty — rzadziej występują. W ub. m. po raz drugi prezentowały się publiczności Związku Radzieckiego.

JERZY BOJANOWICZ

STUDIO COMPACT-UNI-

kasety, płyty, sprzęt. Nagrywanie, wypożyczanie, udostępnianie na miejscu sprzętu nagrywającego. W-wa, Targowa 83 b m 29, tel. 19-63-63, czynne 10-17, w soboty 10-14. Oferujemy 2000 tytułów.

35419/1

Informacja o cenach i warunkach prenumeraty NON STOPU

CENA PRENUMERATY: półrocznej — 660 zł, rocznej — 1 320 zł

WARUNKI PRENUMERATY:

1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy:

— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach;

— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów:

— osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

3. z dniem 1 czerwca br. ulega zmianie numer konta bankowego dla przedpłat na prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO BP XV Oddział w Warszawie Nr 1658-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zlecających indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

SEX PISTOLS



FUCK THE QUEEN

rewolta czy szalbierstwo?

...się wlecie. rzywdział postac ludzką i podczas gdy panna spara, zbliżył się do niej i poznał ją cielesnie. Kiedy się przebudziła, przeżegnała się znakiem krzyża mówiąc: Maryjo, Matko nasza, co też mi się stało! Potem wstała, lecz nie zobaczyła nikogo... O.o.s.

Rock miał być rewoltą przeciwko mieszczańskiej gnuśności. Aktem terroru wymierzonym w pokusę, której wszyscy ulegamy. Pokusę wygodnictwa. Miał budzić z letargu, wyrwać ze stanu ośpienia. Przypominać wartość szczenięcych marzeń, młodzieńczych ambicji i aspiracji. Miał zdzierać maski, które wkładamy, by jakoś prześlizgnąć się przez życie. Miał być krzykiem. Krzykiem protestu przeciwko hipokryzji i obłudzie. Miał atakować i demaskować, prowokować i bulwersować. Miał być szyderstwem. Stał się — cytując Keitha Richardsa — wielkim interesem. Interesem cwaniaków i oszustów, cyników i łgarzy. Jak każdy interes.

The Sex Pistols wyznaczyli sobie zadanie nielatywne. Wysadzić cały ten rock'n'rollowy kramik w powietrze. A może tylko pluć sklepiarkom w twarz.

Moment powstania grupy umiejscowić należy gdzieś w środku gorącego lata 1975 roku. Niedługo po tym, kiedy do dziwnego, londyńskiego salonu mody o młodzieżowej nazwie Sex wszedł pewien młody człowiek. Johnny Rotten. Nawet w takim miejscu, wśród najbardziej dziwacznych strojów i ozdób, zwracał na siebie uwagę. Ufarbowaną na zielono, zmierzwioną czupryną. Poszarpanym podkoszulkiem ze starannie wykaligrafowaną nazwą popularnej grupy rockowej i odrębnym dopiskiem: *Nie nawidzę*. Arogancka postawa. I skrzekliwym głosem. Naprawdę nazywał się John Lydon.

Sklep prowadzony przez Vivienne Westwood, kontrowersyjną projektantkę mody, a także jej męża, Malcolma McLaren'a — uczestnika rewolty młodzieżowej końca lat sześćdziesiątych a później, przez kilka czy kilkanaście miesięcy, menażera The New York Dolls — stanowił bazę lichej grupy rock'n'rollowej The Swankers. Kiedy dołączył Rotten, kwartet, który bez polotu wykonywał przeboje The Who i Small Faces, przeistoczył się — no, może nie od razu — w zespół rock'n'rollowy z prawdziwego zdarzenia. Być może najważniejszy zespół rock'n'rollowy w ogóle.

Niebawem obywatele Królestwa, a wkrótce cały cywilizowany świat, doświadczyć mieli katalizmu określonego dziwnie i dosadnie. The Sex Pistols.

Nie wiem, czego chcę, wiem jednak, jak to osiągnąć. Niszcząc wszystko. Taki program zawarł Rotten w utworze wykonywanym przez grupę od lipca 1976 roku, a kilka miesięcy później wydanym na singlu. „Anarchy In The U.K.”. Nagrywany do dziś — ostatnio przez chłopców z Megadeth. Wyrażającym zwątpienie we wszelki porządek. W gwarancje oszalałych polityków oraz przywołanych z podań ludowych i baśni, wystrojonych na karnawał, który dawno się odbył, monarchów. W zapewnienia szarlatanów nauki. W obietnice religii i Kościoła.

Destroy! wrzeszczał Rotten. A więc: Niszcz! Dla naiwnych było to hasło do rozrób. W rzeczywistości wyrażało rozgoryczenie i furię człowieka powołanego na świat, który zaprzepścił wszelkie szanse.

To ja wymyśliłem punk — mówi w filmie zatytułowanym „The Great Rock'n'Roll Swindle”

Malcolm McLaren, nie tylko szef sklepu Sex ale też opiekun i menażer The Sex Pistols. W kilku czy kilkunastu odsłonach przedstawia poszlaki i dowody na potwierdzenie swej tezy. Rottena i jego kompanów traktuje jak kukielki w teatrzyku, który stworzył. To on ciągnął za sznurki. On planował akcje, które miały wstrząsnąć podstawami zachodniego świata. On wymyślał kolejne sceny prowokacyjnego spektaklu. On podsuszał podstępny temat utworów. On wskazywał nagrania, które mieli przetrwać, nim pluną własną muzyką. Czyje nagrania? Choćby Iggy Popa. I oczywiście The New York Dolls. On stworzył punkową modę. Czy raczej antymodę. Z agrałką — drobnym przedmiotem bez wartości — jako najważniejszą ozdobą. Ozdobą szyderczą. On wymyślił hasło: *No Future!*

Pewny siebie, elokwentny, wyszczekany. W filmie „The Great Rock'n'Roll Swindle” McLaren stawia sobie pomnik. Kreuje się na idola. Jakby zapomniał, że Pistols wymiali idoli. Wszystkich idoli. Że raz na zawsze skompromitowali idee gwiazdorstwa.

Pistols traktowano początkowo jak zoologiczną ciekawostkę. Billy Grundy — ktoś w rodzaju naszej pani Zdzisławy Gucy — postanowił przedstawić to kuriozum w telewizji. W grudniu 1976 roku zaprosił członków grupy do studia. Zwracając się do nich z pogardą nie próbował nawet udawać zainteresowania ich muzyką, ich poglądami na życie, ich postawą. Elegancki i wyperfumowany, czekał na szczytę pieprzu. Coś, co ożywi nudny program.

Zaczął rozmowę z kurtuazją. Nie wytrzymał jednak. Błagalnym tonem prosił Rottena, by powiedział coś brzydkiego. Na co liczył? Nie wiemy. Wiemy, co usłyszał. Dowiedział się, że jest... sk... synem.

Aura skandali towarzyszyła poczynaniom Pistols od momentu powstania aż do nieprzewidzianego końca. Od pierwszych koncertów, kiedy u boku Rottena pojawiła się przyjmująca wyuzdane pozy, rozebrana do naga dziewczyna, po tragiczny finał — śmierć Nancy Spungen z ręki Sida Viciousa.

Skandalem samym w sobie był nihilistyczny utwór „Anarchy In The U.K.”. Podobnie „God Save The Queen”. Błuznierczy hymn z następnego singla, wydanego wiosną 1977 roku — w okresie gorączkowych przygotowań do obchodów 25-lecia panowania królowej Elżbiety. Zaczynający się od słów: *God save the Queen and her fascist regime...* Skandalem okazał się koncert zaimprovizowany przez zespół na pokładzie płynącego Tamizą statku wycieczkowego Queen Elizabeth. W dniach jubileuszowych uroczystości.

Skandal jako wyzwanie i skandal jako przynęta. Przedstawiciele biznesu rockowego musieli w działalności The Sex Pistols dostrzec szansę wielkiego interesu. Krążyli wokół grupy, próbując ją osaczyć. Pistols pozwalali się osaczać. „Anarchy In The U.K.” nagrali dla EMI, „God Save The Queen” dla A and M. Obydwie firmy szybko wycofały się z zawartych umów. EMI po kilku tygodniach, A and M po kilku dniach. Ich szefowie przerazili się towaram, który dostali się do rąk. O który wal-

czyli i zabiegali. Woleli ponieść wysokie koszty zerwania kontraktów niż zarabiać na Pistols w dalszym ciągu. Hipokrytom z EMI dedykował zespół utwór zatytułowany po prostu „EMI”.

W końcu pojawił się jednak ktoś, kto się The Sex Pistols nie przestraszył. Richard Branson, szef Virgin. Staraniem tej firmy w październiku 1977 roku ukazał się album „Never Mind The Bollocks, Here's The Sex Pistols”. Przytłaczający potężnym gitarowym brzmieniem. Ale też gwałtownością zaśpiewanych przez Rottena z jadem w głosie tekstów. Uderzających w społeczeństwo i państwo. Ale też w zdeprawowaną, zepsutą do szpiku kości jednostkę. Z sarkazmem wskazującym pretekst do Trzeciej Wojny. Do ostatecznej zagłady.

„Never Mind The Bollocks”. Kolejny skandal. I zarazem najlepsza płyta w historii rock'n'rolla.

W październiku 1977 roku grupa podpisała kontrakt z amerykańską firmą płytową Warner Brothers. Z zespołu oplukanego, znienawidzonego, przeobrażała się powoli w gwiazdę. Z powodu perturbacji z wizami w podróż koncertową po Stanach Zjednoczonych — zaplanowaną na przełom 1977/1978 — wyruszyła z tygodniowym opóźnieniem. Czternastego stycznia grała w Winterland w San Francisco. Grała po raz ostatni. Zaraz po występie Rotten oznajmił, że odchodzi. Nie chciał, aby sukces zneutralizował to, co udało się grupie osiągnąć. Miał też dosyć współpracy z McLarenem — *anarchizującym burżujem, który w anarchię wierzy tak długo, jak długo przynosi mu ona materialne korzyści*.

Sądził zapewne, że związany z jego odejściem skandal będzie ostatnim w historii The Sex Pistols. Pomylił się. McLaren nie ustąpił. Nie ustąpił też pozostali członkowie zespołu. Przede wszystkim gitarzysta Steve Jones i perkusista Paul Cook, którzy zaraz po koncercie polecili do Brazylii, by z Ronnie'em Biggsem — poszukiwanym przez policję brytyjską uczestnikiem Napadu Stulecia — nagrać m.in. utwór „No One Is Innocent”. *Nikt nie jest bez winy*. Basista Sid Vicious — ten który dołączył jako ostatni (na miejsce Glena Matlocka, zdolnego kompozytora), zasłużył sobie jednak na najwyższe notowane miejsce w punkowym pantheonie, tuż przy piekielnej kadzi — został wówczas w Stanach. Pograżając się w heroicznym mroku. Przywołując widma i demony.

To, co się wydarzyło później, to już jednak inna historia.

Rock miał być rewoltą przeciwko mieszczańskiej gnuśności. Aktem terroru wymierzonym w pokusę, której wszyscy ulegamy. Pokusę wygodnictwa. Miał budzić z letargu, wyrwać ze stanu ośpienia. Przypominać wartość szczenięcych marzeń, młodzieńczych ambicji i aspiracji. Miał zdzierać maski, które wkładamy, by jakoś prześlizgnąć się przez życie. Miał być krzykiem. Krzykiem protestu przeciwko hipokryzji i obłudzie. Miał atakować i demaskować, prowokować i bulwersować. Miał być szyderstwem...

Był znowu, przez moment. W odległych czasach The Sex Pistols.

WIESŁAW WEISS



Jego Książęca Purpurowość w kratę

Nie będziemy Was omamiać, że intensywnie pracujemy nad sensacyjnym materiałem o Prince'ie, ale jest to fakt — problem Prince'a wymaga jednak poważnego potraktowania i właśnie temu wyzwaniu zamierzamy sprostać. Ile nam to zajmie czasu — nie wiadomo, mamy nadzieję, że nie za dużo. Oto dlaczego: Jeśli ktoś przejdzie do historii jako Wielki muzyk XX wieku, obok Lutosławskiego i Stockhausena, to będzie nim Prince — oznajmił na łamach Rolling Stone'a znany krytyk **Steve Pond**. Prince gra muzykę już XXI wieku i, wiercie mi, show business czy sami fani nie zawsze dorosli do jej zrozumienia. Jest niezaprzeczalnym faktem, że i sami koledzy po fachu Księcia wyrażają podobne opinie — wyraz swemu zafascynowaniu dali już **Eric Clapton** (to k... ..ski gitarzysta!) i **Ron Wood** (miałem potężnego cykora przed pojawieniem się z nim na scenie, bo to trochę głupio być gościem w show takiego gościa). **Terence Trent D'Arby** przysłał Purpurowemu swojego ulubionego Fendera Telecastera w prezencie i fakt, iż na tym właśnie instrumencie Prince wykonał „Wishing Well” i „If You Let Me Stay” podczas londyńskich koncertów na Wembley Arena, uznał za największy zaszczyt, jaki mógł go spotkać. Również 19-letnia **Mica Paris**, nowa brytyjska bohaterka soulowa, którą Prince zaprosił do swego show, wyznała: *Praca z nim nie przypomina niczego z czym się w życiu spotkałam. Nasz materiał o Prince'ie będzie miał za zadanie wyjaśnić Wam skąd się biorą takie, przynajmniej, niezwykłe peany.*

Największa na świecie wytwórnia gadżetów rockowych **Winterland Productiona** specjalizuje

się w produkcji drobiazgów na zlecenie światowych gwiazd i wytwórni, aktualnie dyskutuje o możliwości otwarcia fabryki koszulek T-shirt w ZSRR. Kartą przetargową jest m.in. prowizja, jaką wytwórnia zamierza wypłacić od sprzedanych 30.000 koszulek z układem Reagan-Gorbaczow z czasu szczytu. Winterland zamierza pracować na rzecz komсомolskich klubów rockowych, gwiazd światowych goszczących w imperium i władz... (Hm... — NS).

Stevie Nicks, kobieta, która rozbiła kilka małżeństw, jest tytanem pracy (**W wolnych chwilach — NS**). Z ostatnich dwóch lat zostało mi 60 piosenek, w całym archiwum chyba ze trzyście — zaanonsowała w związku z rozpoczęciem pracy nad swym czwartym solowym LP, którego producentem będzie **Rupert Hine**. Ten ostatni jest sam wspaniałym muzykiem i szkoda, że poza P. Kaczkowskim żaden z Trójkowych prezenterów nie poświęcił jego muzyce więcej miejsca — jest czego posłuchać. Nicks, która niedawno ukończyła obowiązkowe zajęcia z **Fleetwood Mac** (kolejny long) zamierza wkrótce wykonać swoją solową produkcję, zaraz potem będą nagrania kolejnego LP kapeli Micka Fleetwooda, potem jej solowe tournée i wówczas trasa z FM. *Boję się pracy nad swym albumem, zawsze się tego bałam. Moja muzyka znaczy dla mnie zbyt wiele, żeby się nie musiała bać — dodała Stevie komentując swoje plany.*



Stevie Nicks w koronkach

FOT. AARON RAPOPORT

Od wielu miesięcy bohaterem USA jest **Steve Winwood**, którego LP „Roll With It” robi z amerykańskimi listami przebojów, co chce (przeszkadza mu nieco tylko LP **Tracy Chapman**). Przypomnijmy, że Winwood nie jest nową twarzą w interesie. W latach 60-ych był sensacyjnym 17-letnim, wokalistą i gitarzystą kapeli **Spencer Davis Group**, słynnym odtwórcą jej superhitów „Somebody Help Me”, „Keep On Runnin’”, a nade wszystko „Gimme Some



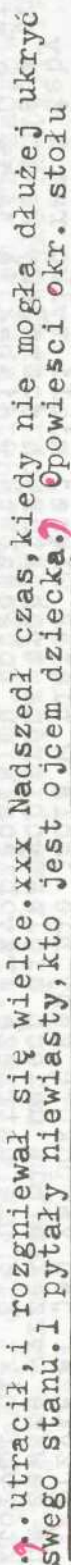
Steve Winwood w kawalku

Lovin’”. Jego muzykalność i charakterystyczny, lekko murzyński ton głosu uczyniły zeń gwiazdę i pupila herosów ówczesnych lat, którzy zatrudniali go do wszelkich spektakularnych przedsięwzięć jak np. powołanie superkapeli **Blind Faith** i **Traffic**. Intelktualne odloty i frustracje odsunęły go nieco od centrum światowego biznesu i dopiero ostatni come back daje namiastkę jego prawdziwych możliwości. Krytycy zastanawiają się, jak dalej potoczą się losy tego niezwykłego artysty, gdyż... *Odkryłem, że muzyka country jest bardzo fascynująca! Byłem w Nashville, tam jest ogromna ilość countrowych stacji radiowych i z tego, co usłyszałem, to cała ta muzyka jest najbliższej rhythm and bluesa. To głupie, ale moja żona słucha teraz więcej rocka niż ja... Potem nastąpiła zapowiedź spróbowania swych sił w tej konkurencji.*

Kolejne wieści od **Stonesów**. **Keith Richards**, który zadeklarował się ostatnio jako fan kapeli **INXS**, wybrał się na ich koncert w Madison Square Garden, by pogratulować im występu za kulisami. W odpowiedzi usłyszał od **Michaela Hutchence** wokalisty zespołu, że jego (Richardsa) solowy LP „Talk Is Cheap” jest przez nich uwielbiany. Przy okazji Keith wyznał, dlaczego publicznie nazywa swoją kapelę „Kosztowne Wina”. *Widziałem w studiu jak pili po kryjomu, schowani za bębnami, flaszkę Lafite-Rothschilda i nie podzielili się ze mną. W Stones panowały inne zwyczaje.*

Keith i Mike z Towarzystwa Wzajemnej Adoracji
FOT. YVES BEAUVAIS





FOT. NICK ELGAR

ce dready dodaje: *Kupię sobie kapelusz, nikt mnie nie pozna, bo biali widzą wszystkich czarnych jednakowo... (Fakt — NS). Oryginał robiących furorę koncertów Chapman wynika również stąd, iż w ogóle nie odzywa się ona do publiczności i pomiędzy utworami pochyla głowę, patrząc w deski sceny aż umilkną owacje. *Powiedz coś do nas!* — coraz częściej krzyczą ludzie z widowni. Zapytana o powody swego nadzwyczaj skromnego zachowania artystka odpowiada: *Tu nie ma image, nie ma kreacji. Countrowcy, do których i mnie się zalicza, po prostu piszą swoje piosenki, sami je wykonują, każdy jest niezależny od nikogo i tylko swoimi songami się broni. Jestem... kru-**

Bono solo



To śmieszne i irytujące... Co i rusz podchodzą do mnie różni ludzie i pytają: „Przepraszam, czy ty jesteś Tracy Chapman?” — mówi **Tracy Chapman** i pokazując na swoje stercza-

NS NS

KEITH RICHARDS: Talk Is Cheap (Virgin)
ns-ns-ns **BREATHE:** All That Jazz (Siren)
ns-ns-ns **PENGUIN CAFE ORCHESTRA:**
 When In Rome (Editions EG) *ns-ns-ns* **CHRIS
 DE BURGH:** Flying Colours (A&M) *ns-ns-ns*
THE DREAM SYNDICATE: Ghost Stories
 (Enigma) *ns-ns-ns* **GODFLESH:** Godflesh
 (Swordfish) *ns-ns-ns* **TOM WAITS:** Big Time
 (Island) *ns-ns-ns* **CARLOS SANTANA:** Viva
 Santana! (Columbia) *ns-ns-ns* **JAMES
 BROWN,** LOUIS ARMSTRONG, THE
 BEACH BOYS, & OTHERS: Good Morning
 Vietnam — Soundtrack (A&M) *ns-ns-ns* **KIX:**
 Blow My Fuse (Atlantic) *ns-ns-ns* **RANDY
 NEWMAN:** Land Of Dreams (Reprise)
ns-ns-ns-ns-ns.....

Z POWAŻANIEM — enes

WIELKA BRYTANIA

(DZIŚ DLA ODMIANY NIEZALEŻNI)

1. **Rank** — THE SMITHS — Rough Trade
2. **Blue Bell Knoll** — COCTEAU TWINS — 4AD
3. **Nephilim** — FIELDS OF THE NEPHILIM — Situation Two
4. **House Of Love** — HOUSE OF LOVE — Creation
5. **Doing It For The Kids** — VARIOUS — Creation
6. **Tommy** — WEDDING PRESENT — Reception
7. **Tender Prey** — NICK CAVE — Mute
8. **Kylie — The Album** — KYLIE MINO-GUE — PWL
9. **The World In Your Eyes** — LOOP — Head
10. **The Innocents** — ERASURE — Mute
- + **ŚWIĄTECZNY DODATEK:**
11. **'Til Things Are Brighter** — VARIOUS — Red Rhino
12. **Life's Too Good** — THE SUGARCUBES — One Little Indian

wg NME 1/10/88
(ale jare)



the smiths odżyli!

W 1982 roku w mieście Manchester, znanym z tradycji włókienniczych oraz wytwórni Factory, spotkało się dwóch ludzi: kompozytor i gitarzysta — John Marr oraz poeta — Steven Patrick Morrissey. Łączył ich wspólny stosunek do sztuki — artystyczny konserwyzm i tradycjonalizm nie pozbawiony jednak cięgot do poszukiwań. Utworzyli zespół, do którego przyjęli jeszcze dwóch kolegów: basistę Andy Rourke'a i perkusistę Mike Joyce'a. Nadali mu nazwę The Smiths.

Tak naprawdę świat dowiedział się o nich w 1983 roku, po wydaniu drugiego (po „Hand In Glove”) singla — „This Charming Man”. Od początku działalności grupa związała się z niezależną londyńską wytwórnią Rough Trade, która w tym samym roku wydała debiutancki album grupy pt. „The Smiths”, popularnie nazywany „jedyńką”. Rok 1984 to wiele nowych piosenek („What Difference Does It Make”, „These Things Take Time” itd.) wydanych na małych płytach i zebranych później (1985 na albumie „Hatful Of Hollow”). W kilka tygodni później ukazała się trzecia płyta zespołu — „Meet Is Murder”, akcentując pozycję The Smiths na rynku brytyjskim. Kolejne LPs nie zmieniły nic w obliczu zespołu. Pozostało brzmienie, instrumentarium, nastrój. Ciągłe wzrastała jednak popularność grupy. Wydany w 1986 roku album „The Queen Is Dead” cieszył się największym wzięciem wśród fanów zespołu. Po nim The Smiths mieli czas na nagranie zaledwie dwóch płyt studyjnych: „The World Won't Listen” (przełom 1986 i 87) oraz „pośmiertny” „Strangeways, Here We Come”. W międzyczasie na rynku amerykańskim ukazała się jeszcze dwupłytkowa kompilacja „Louder Than Bombs” z utworami z lat 1983–86. I to już... koniec?

Na przełomie lipca i sierpnia 87 grupa The Smiths zaprzestała działalności. Tygodnik New Musical Express z 1 sierpnia podaje powody takiego stanu rzeczy — sprzeczność charakterów Morrisseya i Johny Marra, niezadowolenie Morrisseya z kontaktów utrzymywanych przez Marra (m.in. nagranie gitar na albumach Keitha Richarda i Bryana Ferry) oraz jego wyjazd do Ameryki (nagranie dla Talking Heads) podczas pracy The Smiths w studiu. Mimo to, NME zapowiedział wydanie singla „Girlfriend In A Coma” i albumu „Strangeways, Here We Come”. To samo wydawnictwo informowało, że owa duża płyta będzie nieodwracalnie ostatnim albumem studyjnym nagrany przez The Smiths dla wytwórni Rough Trade. Nie wspomniało jednak o płycie koncertowej.

Morrissey i Marr przestali się do siebie odzywać 19 maja 1987 (O której? — przyp. NS). The Smiths było jak obraz — mówi Morrissey — co miesiąc dodawało się po kawałeczku tu i ówdzie... ale nigdy nie było

ukończone i dlatego udało się im to zetrzeć bez śladu. Bardzo wielu znawców muzyki, w tym przyjaciele grupy, doszło do wniosku, że rozpad nastąpił we właściwym momencie. Mimo starań Morrisseya o zachowanie nazwy The Smiths, Johnny Marr za radą byłego managera grupy, Kena Friedmana, nie wyraził na to zgody. Morrissey mówi: Istotą skuteczności działania The Smiths był fakt, że każdy znał swoją pozycję w zespole oraz swoje możliwości. Jednak, gdy ktoś w to wtargnął, wszystko rozpadło się na dwadzieścia pięć kawałków.

Wiele kontrowersji wywołało wydanie przez Rough Trade niepublikowanych wcześniej utworów The Smiths (oraz numerów ze



stron B singli). Morrissey stwierdził: Zgadzam się na to, bo uważam, że piosenki The Smiths powinny być ciągle grane. Cieszę się z wydania albumu koncertowego, bo to dobry album.

Po uwolnieniu się od niezależnej firmy Rough Trade, Morrissey podpisał kontrakt z wytwórnią EMI. Napisał teksty do muzyki podsunętej mu przez basistę Stephena Streeta (współpracującego wcześniej z The Smiths). Powstała z tego płyta „Viva Hate”, która jest znacznie słabsza od produkcji zespołu. Niejednolita, momentami nudna. Najciekawsze na niej kompozycje są utrzymane w konwencji produkcji The Smiths („Bengali In Platforms”, „Suedehead”).

Nagle w lipcu '88 w prasie pojawiła się wiadomość, że współpraca Morrisseya i Streeta gwałtownie się skończyła. Zaczęły krążyć plotki dotyczące przyszłości „Mozzera” (to pseudonim Morrisseya). Kto będzie dla niego komponował? Mówiło się o Richardzie Coles — współpracowniku The Communards. Jednak za kilka dni wybuchła kolejna sensacja.

25 lipca br. John Peel w swoim wieczornym programie (Radio One — BBC) oficjalnie zapowiedział wznowienie działalności grupy The Smiths. Filarami będą Morrissey i Marr, zaś pozostali muzycy mają być doborzeni przy każdej sesji czy koncercie. Nowy album grupy został zapowiedziany na luty '89.

Mimo różnych losów grupy, fani The Smiths wciąż wierzyli i pamiętali. W lipcu w Manchesterze odbył się olbrzymi zlot wielbicieli grupy. Zjechali się z całej Wielkiej Brytanii, choć nie tylko. Fotografowali, wymieniali opinie o muzyce i muzykach, odwiedzali grób Oskara Wilde'a (idola Morrisseya) i czekali.

Artystom również ta przerwa była potrzebna. Do znalezienia odpowiedniego dystansu do spraw, nad którymi pracowali przez sześć lat. Do odpoczynku. Do twórczego myślenia.

A teraz do roboty, panowie!

ADAM GRZEGORCZYK



THE SMITHS

„Rank”

Warner Bros.

★ ★ 3/4

Regułą stało się wydawanie płyt koncertowych podsumowujących pewien etap działalności artystycznej i „Rank” jest jeszcze jednym na to dowodem. Po odejściu Morrisseya, gdy dalsza działalność The Smiths stanęła pod wielkim znakiem zapytania, firma Warner Brothers zdecydowała się na opublikowanie koncertowych nagrań z października 1986. „Kowalscy”, wspierani przez gitarzystę Craiga Gannona wykonują materiał znany z ich poprzednich wydawnictw, ale muzyce brak tej świeżości, którą niosły wcześnie płyty studyjne. Styl The Smiths, odwołujący się do brzmienia gitarowych zespołów z lat sześćdziesiątych, był niemal ewenementem w chwili debiutu formacji Morrisseya i Marra, bo wtedy wydawało się, że niemożliwa jest rezygnacja z ówczesnej superprodukcji nagrań. Jednak od owego debiutu minęło trochę czasu i filozofia głoszona przez członków The Smiths wykluczała ewolucję zespołu. Wyraźnie widać to na „Rank” — muzyka jest mało urozmaicona, a poszczególne utwory są grane według tej samej receptury brzmieniowej tylko trochę ostrzej niż w studiu. Weźmy „Queen Is Dead”, które brzmi niczym... The Cult z płyty „Love”. Jest jeszcze ładnie wykonana ballada „I Know It's Over” i gitarowa galopada w „The Draize Train”, ale pozostałe utwory sprawiają wrażenie różnych wersji tego samego tematu.

Wszystko to zdaje się potwierdzać fakt, że The Smiths wpadło w stylistyczną pułapkę.

WOJTEK KALINOWSKI

czarny prezydent

„Kalakuta” jest republiką w pełnym tego słowa znaczeniu. Rządzi się własnymi prawami — ma swój sąd, więzienie oraz klinikę na niewielkim terenie, ogrodzonym — dla bezpieczeństwa — kolczastym drutem.

W tym miniaturowym „państwie” zamieszkuje wraz ze swoimi muzykami, grupą tancerzy, dwudziestoma siedmioma żonami, bratem, matką, trojgiem dzieci, osłami, wilczurami i pawiem — Fela Anikulapo Kuti.

W samym środku getta Mushin w nigeryjskim Lagos, dokładnie po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko swojego klubu Africa Shrine (Świątynia Afryka) mieszka człowiek, który od początku lat siedemdziesiątych konsekwentnie buduje imperium oporu. Miliony odbiorców jego muzyki nazywają go Czarnym Prezydentem.

Fela pochodzi ze znanej rodziny nigeryjskiej — jego nieżyjąca już matka była ważną osobistością tamtejszej sceny politycznej — ojciec działaczem oświatowym, biskupem Kościoła anglikańskiego, propagującym rdzenną kulturę Yoruba. Dziadek Feli komponował hymny kościelne, oparte na motywach muzyki tego plemienia. W latach 20-tych niektóre z nich znalazły się na płycie wydanej przez EMI.

Fela nie jest jednak zachwycony działalnością dziadka: *Był kaznodzieją, który uczestniczył w propagowaniu chrześcijaństwa tutaj, w kraju Yoruba. Nie widzę w tym niczego dobrego. Muszę wyprostować to, co on namącił. Jego błędy przysłużyły się kolonizatorom, a my teraz kończymy z kolonizacją.*

Młodość spędził w Abookuta. Po przyjeździe do Lagos znalazł miejsce w tanecznym zespole Victoria Olaiya Cool Cats, grającym głównie muzykę w stylu highlife. Później, kiedy studio wał muzykę w Anglii w London Trinity College, założył grupę The Highlife Rakers. W Wielkiej Brytanii usłyszał po raz pierwszy Milesa Davisa, Johna Coltrane'a i Thada Jonesa. Po powrocie do Nigerii w 1963 roku założył zespół Coola Lobites, który łączył jazz z muzyką highlife.

W 1969 roku Fela znalazł się w Los Angeles, gdzie zetknął się z ideologią Czarnych Panter. *Gdy usłyszałem muzykę wielu wielkich artystów murzyńskich zdałem sobie sprawę, że brakuje nam w Afryce otwarcia, że słuchamy tylko tej muzyki, którą nam puszczają. Radio było pod kontrolą białego człowieka i dlatego nie mieliśmy pojęcia o czarnej muzyce. W Anglii usłyszałem jazz i zacząłem grać tę muzykę, by artykułować afrykańską tradycję muzyczną. Potem pojechałem do Stanów i tam dopiero poznałem czarną historię Afryki, jakże odmienną od tej, którą sformułował biały człowiek. Wtedy zrozumiałem, że wcale nie grałem muzyki afrykańskiej. Posługiwałem się jazzem, aby grać muzykę afrykańską. A przecież najpierw trzeba grać muzykę afrykańską, aby później zająć się jazzem. Ameryka pozwoliła mi się odnaleźć. Po powrocie z USA w 1970 roku Fela zmienił nazwę zespołu na Africa 70 i skoncentrował się na graniu Afro-beatu. Już pierwsze dwa single „Who Are You” i „Joun Koku” stały się przebojami. Niedługo potem zespół nagrał pierwszą płytę długogrającą w Londynie w słynnym Abbey Road Studio. Lata siedemdziesiąte przyniosły całą serię płyt nagranych dla EMI i Deca West Africa.*

W tym czasie klub Africa Shrine w Lagos stał się Mekką dla artystów podróżujących po Afryce. Nie tylko czarnych, wśród gości byli

również muzycy z kręgu pop jak np. Paul McCartney. Fela stał się jednym z najbardziej znanych artystów afrykańskich. Wszędzie, gdzie się pokazał, ludzie pozdrawiali go znakiem Black Power Czarnych Panter. W 1974 roku podczas koncertu Jimmy Cliffa, Fela został dostrzeżony przez tłum, który przy ogłuszającym aplauzie poniósł go na rękach na scenę. Oczywiście, na tym koncert Cliffa się zakończył. Innym przykładem popularności Feli były uroczystości dla uczczenia rocznicy odzyskania niepodległości przez Nigerię, odbywające się na stadionie Surulere w Lagos rok później. Cała widownia wstała, aby zgotować owację Feli, który przybył na trybunę wraz ze swoją świtą w trakcie przemówienia głowy państwa nigeryjskiego. Nie tylko sławą, ale także liczebnością swojego orszaku Fela znacznie przewyższał każdego z przybyłych oficjeli. „Dwór” zresztą towarzyszy Feli przez cały czas, często wywołując korki uliczne jako, że osły, których używa konwój nie zawsze są zupełnie posłuszne.

Nazwałem to miejsce Kalakuta, co w Swahili znaczy Republika Zbójce. Nazwę zaczerpnąłem z napisu na ścianie w komisariacie policji w Lagos. Tak nazwana była cela „na dolku” i każdy więzień mówił po wyjściu „Wróciłem z Republiki Kalakuta”. Dlatego nazwałem to miejsce właśnie tak.

Niechęć władz do zbuntowanego Feli sprawa, że regularnie nęka go policja. Mieszkańcy Kalakuty są już przyzwyczajeni do obłąkańczych lub wojskowych. Każdy z tych ataków znajduje później swój opis w pieśniach Feli. Utwór „Kalakuta Show” relacjonuje atak na jego dom oddziału 60 policjantów służb specjalnych. Pretekstem do ataku było poszukiwanie młodej dziewczyny, która ponoć w celu wstąpienia do zespołu tanecznego Feli, uciekła z domu. Policja użyła gazów łzawiących. Kalakutanie weszli na dach domu. Bronili się kamieniami, kijami i czymkolwiek, co wpadło im w ręce. Oczywiście, tego wieczoru Fela nie wystąpił w Africa Shrine. Następnego dnia powrócił

na scenę w bandażach, które jak twierdził, upodobniły go do papieża. Nazajutrz musiał jeszcze stawić się w sądzie, oskarżony o posiadanie „indyjskiego ziela”. Kilkutysięczny pochód odprowadził go do domu po umorzeniu sprawy. Poglądy które Fela głosi publicznie odnośnie legalizacji NNG (Natural Nigerian Gras — Naturalna Trawa Nigeryjska) często policja wykorzystuje w swojej wojnie przeciwko Czarnemu Prezydentowi. Wytoczono mu już niezliczoną liczbę spraw o posiadanie NNG. Jedną z nich została opisana przez Felę w utworze „Expensive Shit”. Po zatrzymaniu Feli, policjanci nie mogąc znaleźć dowodu winy postanowili sprawdzić jego stolec. *Rezultat negatywny — kosztowne gówno — podsumował Fela. Trudno jednak uprzykrzyć życie komuś, kto lubi ryzyko i nie stroni od niebezpieczeństw sytuacji.*

Na początku kariery znany był jeszcze jako Fela Ransome Kuti. W 1972 roku zaczął używać nowego przydomka — Anikulapo (noszący śmierć w kieszeni). Podobno o prawdziwości tego imienia najlepiej przekonali się ci, którzy mieli przyjemność odbycia z Felą przejażdżki samochodem (nie pozwala, aby ktokolwiek wyprzedził jego Mercedesa). Jedną z najostrzejszych starć Feli z władzami miało miejsce tuż po festiwalu Czarnej Sztuki FESTAC. Jeszcze przed rozpoczęciem imprezy, razem ze swoją organizacją YAP (Young African Pioneers — Młodzi Pionierzy Afrykańscy) rozprowadził pół miliona ulotek potępiających zarządzenie zezwalające policji na doraźne stosowanie kary chłosty za wykroczenia drogowe. Na tym tle doszło do zatargów z organizatorami festiwalu. W rezultacie pojawiło się następne pół miliona ulotek, tym razem krytykujących organizatorów. W tym samym czasie Fela wydał płytę „Zombie”, wyszydzającą wojskową mentalność władz. (Od tej pory reszta słowa „Zombie” jest obelgą powszechnie używaną w Afryce w odniesieniu do przedstawicieli reżimów wojskowych).

Spory konflikt wywołał także podpalenie motocykla żołnierza z pobliskich koszar przez ludzi Feli. Wojsko odpowiedziało zmasowanym atakiem na Kalakutę, w trakcie którego mieszkańcy republiki zostali pobici, a wszystkie zabudowania kompleksu spłonęły. Fela przeniósł republikę do nowej Kalakuty, lepiej przystosowanej do celów obronnych. Kolejny album nosił tytuł „Coffin For The Head Of State”, a rozkładana okładka zawierała montaż wycinków z gazet opisujących atak na Kalakutę.

Fela jest częstym gościem w Europie i Ameryce. Kiedy zachodnie reporterki zarzucają brak szacunku dla kobiet odpowiada: *U nas w Afryce takie kategorie jak mężczyzna i kobieta, stare i nowe, dzień i noc są wyraźnie od siebie oddzielone. Przyroda i natura są jasne i nie ma nieporozumień. W 1983 roku Fela został skazany na trzy lata więzienia za rzekome przestępstwa dewizowe. Po powrocie w 1984 nowe władze Nigerii zapowiadające (jak to zwykle bywa) głębokie przemiany demokratyczne, darowały Feli resztę kary. Kiedy wychodził z więzienia, wielotysięczny tłum witał go. Na pytanie jednego z dziennikarzy czy teraz, w nowych warunkach ma zamiar kandydować na prezydenta, odparł: *Ludzie uważają mnie za prezydenta już od piętnastu lat. Jestem Fela Anikulapo Kuti — Czarny Prezydent.**

Czarny Murzyn Fela

FOT. CLAUDE GASSIAN



IERZY KLESZCZ

sławomir kulpowicz

MOTTO

Wszystko w życiu ma plus i minus. Najtrudniejsze jest umiejscowienie się w punkcie zero, punkcie czystej prawdy, albowiem jedno przechodzi w drugie: zimno w ciepło, dzień w noc, blisko w daleko, to co podrzucisz — spada. Przyroda stale pokazuje plus-minus. Cały kosmos pokazuje to bez przerwy. Są różne punkty widzenia, bo człowiek też myśli plus-minus. Taka też jest sztuka i ja to wewnętrznie czuję.

DEKLARACJA MUZYCZNA

Nie mam jej. Przestałem dla siebie grać jazz z dwóch powodów. Pierwszy z nich jest sensu stricto muzyczny, a drugi — czysto prywatny i one oczywiście ze sobą korelują. Powód muzyczny polega na tym, że przez ostatnie sześć lat każdą trasę w Polsce lub gdziekolwiek, grałem w 99 procentach w nowym zestawieniu ludzi, chociaż ze względów artystycznych oraz moich wymagań, byli to ludzie jakby z jednego kręgu. Grałem też solo, a również robiłem eksperymenty z muzykami hinduskimi i tureckimi. Eksperymentowałem cały czas z nowymi ludźmi, mając przede wszystkim na uwadze stały rozwój mojej muzyki. Któregoś jednak dnia, gdy te poszukiwania poszły już dość daleko i wymyśliłem nową koncepcję, nową rzecz do grania, okazało się, że nie jest to wcale takie proste. W pewnym momencie okoliczności sprawiły, że nie jestem w stanie utrzymać tego zestawienia ludzi, aby wypracować pewne rzeczy w samym graniu. Przy okazji występów solo zauważyłem — i to jest clou pierwszego powodu — że, skoro jest mi trudno zrobić pewne rzeczy z muzykami zawodowymi, to jak, do jasnej cholery, publiczność ma kapować o co mi chodzi. Innymi słowy, była to walka z egoizmem muzycznym typu: ja gram i ja chcę, ludzie zagrać dla was jak najlepiej oraz jednocześnie pokazać, że potrafię zagrać wszystko i poszpantarować swoimi umiejętnościami. Musiałem więc pozbyć się egoizmu muzycznego. Pierwszym krokiem w tym kierunku był „Samarpan”. I oto zamiast ścigać Coltrane'a, którego wszyscy ścigają od trzystu lat na wszystkich kontynentach, zrobiłem coś prostszego, bardziej komunikatywnego. I tu pojawia się drugi powód — uwolnienie się z owego egoizmu łączyło się bezpośrednio z moimi czysto prywatnymi zainteresowaniami duchowymi, których istotą jest, między innymi, pozbycie się jakiegokolwiek egoizmu. Przez ostatnie lata bardzo szybko zmieniałem się zarówno muzycznie jak i prywatnie, a zatem zmiana mojej osobowości pociągała za sobą zmiany mojej muzyki. Odbijało się to w sposób jak najbardziej naturalny, z wewnętrznej potrzeby, a nie z wyspekulowanego wcześniej założenia. W konsekwencji odczuwam ogromne pragnienie podzielenia się z ludźmi swoim prywatnym doświadczeniem na poziomie muzycznym i przekazania tego jak największej liczbie odbiorców. W tym kontekście chcę być „commercialem”. „Samarpan” był więc cezurą, oficjalnym wyznacznikiem nowego kursu. Choć bowiem są jeszcze na nim jazzowe, swingowe rytmy, to jednak dominują już inne rytmy i jest na płycie treść w postaci tekstów.

INDIE

Podstawą owych zmian były moje regularne wyprawy do Indii. Gram tam i pewne rzeczy dobrze idą, ale to dla mnie jest mniej istotne, ponieważ nie jeżdżę do Indii w celach turystycznych. Ten kraj znam bardzo mało. Jest tak potwornie wielki, że na jego turystyczne tylko poznanie potrzeba co najmniej kilku lat zwiedzania. Ja natomiast jeżdżę do konkretnych ludzi w konkretnych miejscach w Indiach. Pomijam fakt, że gram tu i ówdzie i zrobiłem tam jakieś większe rzeczy. To jest pretekst do przyjazdu, są to sprawy zupełnie drugoplanowe. To się zdarzyło. Ważne są moje kontakty z konkretnymi ludźmi. Spotkanie z Shujaat-Khanem to było grzebanie w tamtej muzyce i próba wykorzystania jej w tym, co robię. Moja bowiem znajomość klasycznej muzyki indyjskiej jest bardzo mierna, ponieważ żeby cokolwiek o niej wiedzieć, trzeba się tam



FOT. ANDRZEJ TYSZKO

urodzić. Jest to sztuka, której tradycje sięgają pięciu tysięcy lat... Czerpię pewne wiadomości, które są prawdziwe, ale moja wiedza na ten temat w porównaniu do wiedzy Shujaat-Khana jest po prostu niczym. I dlatego my nie gramy żadnej muzyki hinduskiej. To, co robiliśmy razem to była próba złączenia jego i mojej muzyki na poziomie nagięcia obu stron do pewnej konwencji. Podobnego typu będą moje próby z Turkiem, z którym skleiłem się po pięciu minutach grania, ponieważ — jak się okazuje — cały Orient jest do siebie podobny. Znam pewne centralne prawidła, archetypy rządzące tą muzyką, natomiast wiadomości precyzyjne na poziomie muzyki zawodowego mam bardzo mierne, gdyż zdobycie ich wymaga wielu dziesiątków lat studiów, a jeszcze lepiej, jak mówiłem, jest się urodzić Hindusem.

NEW AGE

Ludzie z kręgu new age na ogół nie zaczynali od jazzu, grali inne gatunki. To jest jakby nowa generacja muzyków. Muzyka new age jest to swego rodzaju fusion, mikstura, konglomerat wielu rzeczy. Na dobrą sprawę nie można precyzyjnie powiedzieć co to jest new age, ponieważ artyści, którzy tworzą tę muzykę, reprezentują różne dyscypliny muzyki, różne brzmienia i dźwięki — od źródeł etnicznych, afrykańskich, orientalnych, wszelkiej innej materii, poprzez elektronikę, która stanowi osobny rozdział, rock, aż do tzw. contemporary music. Wytworzyła się pewna grupa ludzi, związanych z ich prywatnościami, ich poziomem intelektualnym. Wytworzyła się także określonego ro-

dzaju świadomość zmęczenia społeczeństwa jego dotychczasowymi formami. Ludzie mają dość rocka, heavy metalu i jazzu. Być może te gatunki zbliżają się do kresu swych możliwości, gdyż rozwijały się zbyt szybko i wypaliły się. Tak naprawdę od 1967 roku, od czasów Coltrane'a z punktu widzenia sztuki nic nowego w jazzie się nie zdarzyło. Nikt nie zagrał wyżej, bardziej high. 90 procent saksofonistów na całym świecie próbuje dogonić Coltrane'a i nikomu się to nie udaje. A co dopiero go prześcą? I to zdarzyło się dwadzieścia jeden lat temu. Trzeba o tym pamiętać! Tak samo jest w rocku — są ciągle nawroty. Hendrix grał dużo bardziej high niż najostrejsze współczesne kapele heavy metalowe... W tej chwili jest moda na prostotę i czystość, na najprostszą formę przekazu od człowieka do człowieka. W moim przekonaniu nie jest to żadna forma buntu, a raczej ukonstytuowanie się większej świadomości pewnej sztuki w szerszym kręgu muzyków i automatycznie większym kręgu publiczności. Artysta bowiem bardziej lub mniej świadomie poszukuje odbiorców, chcąc się z nimi podzielić swoją wiadomością. Ja poszukuję słuchacza i tym samym chcę być „commercialem”, szczególnie w Polsce, gdzie wiem, że ten odbiorca jest mi bardzo blisko... Określona grupa artystów zyskała określoną świadomość i to jest, między innymi to, że ludzie w tej chwili inaczej się ubierają. Jest inna moda na świecie, ale nie moda w złym znaczeniu tego słowa. Ci ludzie czują się inaczej, mają pióra specyficznie obcięte, lecz nie są to historie ekstremalne typu skinów czy punków, którzy mają zdecydowane tripy, konkretny design i muzykę. Natomiast new age reprezentuje szerszy nurt, bo są to ludzie w naszym wieku, trzydziesto-, czterdziestoletni o pewnej przeszłości. Szesnastolatki tym się jeszcze nie interesują i jakieś new age mają gdzieś... Taki George Winston, który sprzedał miliony płyt piano solo — co on gra w porównaniu do Jarretta? Ale Jarrett nie sprzedał przecież milionów płyt, bo nie ma zapotrzebowania na tak skomplikowane sytuacje. Albo się po prostu spóźnił, ponieważ gdyby teraz nagrał „Köln Concert”, to wie. Z drugiej jednak strony Jarrett był prekursorem i już dawno był new age... W środku życia każdego człowieka — ja to tak czuję — jest moment, pewien punkt zwrotny, że człowiek się deklaruje i idzie w lewo lub prawo. Część ludzi idzie w kierunku duchowości, a część — materializmu. New age bez wątpienia skłania się ku duchowości, bowiem jest to reakcja — dodam społeczeństw zachodnich — na postawy konsumpcyjne, materialistyczne. Powstaje też dużo muzyki intelektualizującej, wyrachowanej, ale dla mnie jest ona bez znaczenia w porównaniu do tej, stworzonej z potrzeby ducha. Najwięcej na ten temat dowiedziałem się od Alice Coltrane, a nie od McCoy Tynera, do którego mnie przyklepiano przez całe lata. Ta niedoświadczona artystka jest jakby moim muzycznym guru i to ona uzmysłowiła mi istotę relacji, że ktoś gra dla kogoś, że jeśli jest ci coś dane, to musisz to oddać.

STARE I NOWE SYTUACJE

Nadal od czasu do czasu grywam solo. Gram też z różnymi zespołami muzykę bliską

Tak więc dano mu na imię Merlin. Po czym oddano dziecku matkę, aby je wykarmiła, żadna bowiem inna kobieta nie byłaby się odważyła dać piersi dziecku tak włochoemu, a któ-

KARRIERA

Początki Rush sięgają 1969 roku, kiedy to Geddy Lee i Alex Lifeson, nastolatkwowie z przedmieścia Toronto, zaczęli realizować swe artystyczne plany z Johnem Rutsey'em. Potem — typowo — w pubach i szkołach bębniłi hity Led Zeppelin, Cream, Hendrixa, Iron Butterfly czy Grand Funk Railroad... Potem za wszelką cenę pragnęli rozszerzyć li tylko lokalną sfa- wę. Potem wreszcie dokonali upragnionych pierwszych nagrań, a potem rozstali się z Rutsey'em, którego zastąpił Neil Peart.

Początki — jak widać — typowe. Rok i miejsce narodzin, odgrywanie standardów, wejście do studia, wymiana słabszego ogniwa, cały czas docieranie się, cały czas marzenia o sławie... Właściwie można by o tym nie pisać, gdyby nie fakt, że... Rush tak właśnie startował. Wyjść z Toronto, wyjść z Ontario, wyjść z Kanady... Powoli, długo, szczebel po szczeblu, z zacisniętymi zębami, ciężką pracą (trochę trują) i wytrwałością, bo w końcu — bądźmy szczerzy — grających jak oni było bardzo wielu. *Dawaliśmy około dwustu koncertów w roku* — wspomina Alex — *co zabierało nam jakieś dziewięć miesięcy, po czym następowały dwa miesiące pracy w studiu*. Ale z wolna przekonywali do siebie publiczność, w tym także Amerykanów.

Przełom nastąpił w 1977 roku i Rush awansował do pierwszej ligi, znajdując sporo fanów także i w Europie. Bardzo w tym pomocy okazał się szlagier „Closer To The Heart”, na zasadzie wolnych skojarzeń przypominający późniejsze „Don't Kill The Whale” Yes (podobnie zniewalający klimat, podobna kultura muzyczna, podobna niewymuszona przebojowość, podobna „doskonałość w miniaturze”). Warto doradzić tym, którzy Rush nie znają, a chcą poznać (Janek, teraz ich będą miliony – NS), że „Closer To The Heart” powinno pójść na pierwszy ogień. Ale uwaga, z tym nie ma żartów – jeśli orkiestra Lee chwyci, to już może nie puścić...

Przyszły następne hity („The Spirit Of Radio”, „Tom Sawyer”), które pomogły w sprzedaży wielu tysięcy dużych płyt wielkich Kanadyjczyków. Listy bestsellerów, tłumy na koncertach, wznowienia starszych nagrań, spore pieniądze — scenariusz jest znany. Cóż, zmieniła się muzyka, to i zmieniły się warunki działania reżyserów. Oczywiście — patrz widelki Led Zeppelin i Yes — Peart i jego koledzy nie docierali do wszystkich (zarzucano im np. schematyzm, wręcz matematyczną dokładność, a i skromną skalę wokalisty), jednak publiczność późniona na złote czasy rocka progresywnego była bardzo zadowolona. W tym miejscu nasuwają się pewne skojarzenia z losami grupy Queen. I ona — choć w mniejszym stopniu niż Rush — startowała z dołka (a może „górki”) z napisem „Zeppelin”, i ona osiągnęła największe sukcesy artystyczno-kommercyjne w momencie, gdy swe produkcje nasączała cieczą według tylko sobie znanej receptury.

Pearl: Niefatwo było przetrwać czasem trudne dla nas dni, ale sukcesy przyszły, b. przyjsz musieli. W końcu wladawalismy w to zbyt wiele pracy i jesteŝmy zbyt kompetentnymi muzykami. Sława bardzo nas cieszy, ale jako ludzie wiele się nie zmieniliŝmy, gdyż pokłask tłumów nie jest najważniejszy. Mimo wszystko z rozrzewieniem wspominam chwile, gdy nie układało się nam zbyt różowo.

Rush z ostatnich lat to już zespół znany i uznany, w pewnym sensie korzystający ze swego blasku z przełomu poprzedniej i bieżącej dekady. Muzycy zadziwili krótszymi włosami i zgromadzili gigantyczną gromadę gotowych wnieść im pomnik fanów (dzień dobry!), ale zdają się nie zabiegać o ekspansję swojej myśli muzycznej na osobników dotychczas nie zarażonych „wirusem z Toronto”. To fakt, że postępująca „elektronizacja” jakoś przybliża formację Lifesona w rejonu nowoczesności-aktualności, jednak gra ona tak daleko, że chce, a nie że musi. No i kwestia przebojów, na których nasz trójce nie specjalnie zależy. Alex: *Po prostu piszemy cały album, nagrywamy go, a dopiero potem przygotowujemy już materiał dający wytwórni płytowej, razem z projektem okładki i wszystkimi innymi rzeczami. Mówimy im: „Chcecie mieć singla? To sobie go sami*



GEDDY LEE (voc, bg, kbds)

znajdzie!'. Wytwórnia single znajduje, ale przebojów — nie.

Pearl, Lifeson i Lee od dawna trzymają się razem, a na pytania dotyczące działalności solowej zgodnie odpowiadają, że najważniejszy jest zespół. Świadomość że w kupie łatwiej się obawia przed ryzykiem porażki, bo w końcu przez tyle lat mogli się sobie opatrzyć i choćby dla higieny psychicznej nagrywać samodzielnie? Lifeson: *„Czasami dziwi mnie, że byliśmy w stanie pracować razem tak długo i tak długo utrzymać się na poziomie, który zapewnił i artystyczny, i komercyjny sukces. Oczywiście napawa mnie to dumą, tym bardziej że dokonaliśmy tego bez kompromisów i utraty tożsamości. Warto tylko wspomnieć, że w 1985 roku Geddy w barwach Nothern Lights (czyli kanadyjskich gwiazd rocka) wziął udział w nagraniu piosenki „Tears Are Not Enough” opublikowanej na longplay'u „We Are The World”*

Lifeson: Myślę, że zawsze będziemy sprzeczając określona liczbę płyt, którą kupią ludzie zainteresowani tym, czego znów dokonaliśmy. (...) Nagrywamy wyłącznie po to, żeby zadowolić siebie. Narzucamy sobie pewne standardy i staramy się im sprostać. Jeśli efektem tego jest popularna płyta, to oczywiście wspaniale, ale jeśli nie, przynajmniej mamy świadomość, że dokonaliśmy czegoś, co chcemy dokonać i wtedy jesteśmy usatysfakcjonowani artystycznie, a nie handlowo.

PLYTY

■ I miesiąc temu, i dziś fruwały w tekście rozmaite tytuły rozmaitych utworów Rush. Teraz nadeszła pora, by wszystkie co wybitniejsze

jazzowi, idącą w kierunku funkowości — sprawdzam co tam się dzieje, co z tym można zrobić. Natomiast „Samarpan” był próbą stworzenia pewnej odmiennej sytuacji na scenie. I najchętniej dalej grałbym w takim zespole, ale ze względu finansowych było to niemożliwe. To mogło się udać raz czy dwa, np. przy okazji Jamboree. Natomiast w tej chwili wszystko robię sam na komputerze, który daje mi tę możliwość, że w każdej kompozycji na nowej płycie mam inny zespół. Tu śpiewa chór, tam gra orkiestra smyczkowa, a gdzie indziej znowu jest coś innego. **W ciągu płyty mogę zmienić ośiem zespołów.** Na dodatek ja na tym komputerze improwizuję — sam ze sobą. Niektórzy powiedzą, że jest to bzdura, ale z drugiej strony, w innej sytuacji nigdy w życiu nie odważyłbym się napisać utworu na fagot, klarnet, obój i marimbę. Pewnie popełniłbym masę błędów w nutach, potem trzeba by było znaleźć odpowiednich wykonawców od muzyki klasycznej, odbyć z nimi próby... A tu siadam do przygotowanego samplera i gram cały utwór, muzykę totalnie improwizowaną. Nagrałem to tylko na dwóch trackach i koniec. Skomponowanie całości zajęło mi sześć minut. Inna sprawa to obróbka materiału, jego zgranie — na to potrzeba znacznie więcej czasu. Do pracy z komputerem zachęciły mnie też spektakle muzyczno-baletowe, które robiłem z Ilianą Alvarado. Dla mnie jest to całkowicie nowa, bo teatralna sytuacja, w której jestem trochę aktorem. Po drugie — w czasie tej sztuki puszczałam muzykę z taśmy, ale dogrywałam do niej rzeczy live i wcale się tym nie nudzę, choć mogłoby się tak wydawać. Nie przeszkadza to też publiczności, która traktuje tę sytuację za zupełnie naturalną. Zauważyłem też, że za każdym razem mogę grać coś innego. Chcę realizować pewnego rodzaju „show” z Ilianą, z którą prezentujemy sztukę wyposażoną w treść. **Pragniemy coś ludziom przekazać.** Będzie to miało taki sam tytuł jak moja nowa płyta — „Sadhana”. Pokazujemy pięć głównych żywiołów — Ziemię, Wodę, Ogień, Powietrze i Eter — w formie muzyczno-baletowo-teatralnej z odpowiednim światłem i scenografią. Nie wiem jak to nazwać, gdyż nie jest to ani czysty balet, ani teatr, ani koncert. Zagrałiśmy już w dziesięciu teatrach w Polsce. Były komplety i chęć to robić nadal, bo czuję, że jest na to zapotrzebowanie. Projekt będzie więc kontynuowany i wzbogacony, między innymi, o udział Andresa Williamsa, pierwszego tancerza Narodowego Teatru Kuby. Ma być zrealizowany program telewizyjny, promujący wraz z płytą te przedstawienia, które — podkreślam — są totalnie improwizowane i za każdym razem inne. **Chciałbym stworzyć spektakli new age, podczas którego ludzie zetknęliby się z odmienną formą przekazu. Pragnę pokazać im coś, czego wcale nie muszą rozumieć, coś, co ich zaintryguje i być może poruszy ich uczucia.**“

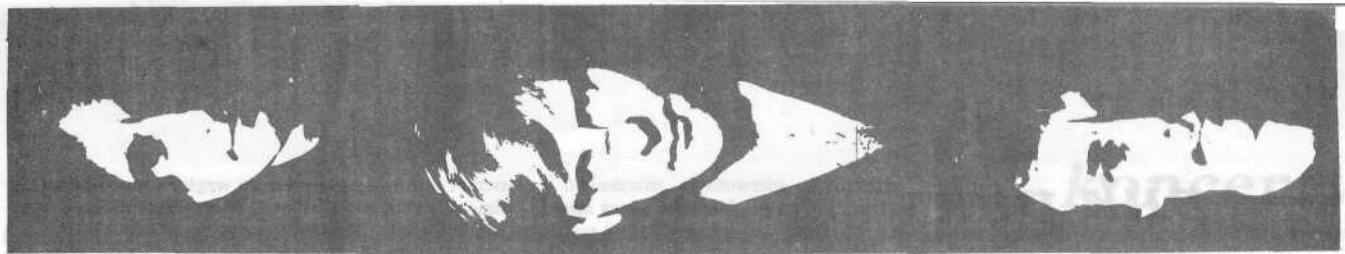
KONIEC

Końce wieków w każdej epoce są podsumowaniem rzeczy i dlatego, w moim przekonaniu, *new age* nie jest buntem, a próbą swego rodzaju unifikacji. Pojawienie się samplera, który w tym procesie jest bardzo pomocny, nie było więc przypadkowe. **To musiało się zdarzyć...**

wysłuchał i spisał

WOJCIECH SOPOREK

* Premiera sztuki „Sadhana” odbędzie się w drugiej połowie stycznia w Teatrze Muzycznym w Chorzowie



przyporządkować poszczególnym płytom, no i — „przy okazji” — przedstawić dyskografię naszych bohaterów. Kolejność wymieniania owych utworów (poza płytami koncertowymi) jest specjalna — pozwoliłem sobie uszeregować je według klucza własnej miłości.

„Rush” (1974 r., jedyny album nagrany z Rutsey'em) — „Finding My Way”, „Working Man”, „What You're Doing”.

„Fly By Night” (1975) — „Anthem”, „Beneath, Between And Behind”, „Fly By Night”, „By — Tor And The Snow Dog”.

„Caress Of Steel” (1975) — „Bastille Day”, „The Fountain Of Lamneth”, „Necromancer”, „Lakeside Park”.

„2112” (1976) — „A Passage To Bangkok”, „2112”, „Something For Nothing”.

„All The World's A Stage” (1976; podwójny album koncertowy z m.in. „Bastille Day”, „Anthem”, „Fly By Night”, „Lakeside Park”, „2112”, „By — Tor And The Snow Dog”, „Finding My Way”).

„A Farewell To Kings” (1977) — „Closer To The Heart”, „A Farewell To Kings”, „Xanadu”, „Cinderella Man”, „Cygnus X-1”.

„Hemispheres” (1978) — „La Villa Strangiato”, „The Trees”, „Hemispheres”.

„Permanent Waves” (1980) — „The Spirit Of Radio”, „Jacob's Ladder”, „Freewill”, „Natural Science”, „Entre Nous”.

„Moving Pictures” (1981) — „Tom Sawyer”, „The Camera Eye”, „Limelight”, „Vital Signs”, „Red Barchetta”, „YYZ”, „Witch Hunt”.

„Exit... Stage Left” (1981; podwójny album koncertowy z „The Spirit Of Radio”, „Red Barchetta”, „YYZ”, „A Passage To Bangkok”, „Closer To The Heart”, „Beneath, Between And Behind”, „Jacob's Ladder”, „Broon's Bane”, „The Trees”, „Xanadu”, „Freewill”, „Tom Sawyer” i „La Villa Strangiato”).

„Signals” (1982) — „The Analog Kid”, „Subdivisions”, „Losing It”, „New World Man”.

„Grace Under Pressure” (1984) — „Afterimage”, „The Enemy Within”, „Distant Early Warning”, „Red Sector A”.

„Power Windows” (1985) — „Marathon”, „Emotion Detector”, „Manhattan Project”, „The Big Money”.

„Hold Your Fire” (1987) — „Tai Shan”, „Time Stand Still”, „Mission”, „Turn The Page”.

Do nagrań z reguły przygotowują się w jakimś cichym domku na wsi, do którego wsta-

wiają swój ogromniasty sprzęt. Tam pieczołowicie szlifują materiał, dbając o szczegóły i szczególik. Tak, kiedy wchodzimy do studia — mówi Lifeson — to staramy się być w jak najlepszej formie. W studiu najczęściej zmieniamy tylko drobiazgi, np. instrumenty klawiszowe, przez co niekiedy zmienia się brzmienie gitary, która jest nagrywana po klawiszach. To ogromnie ważne, by nim się wejdzie do studia, jasno sobie zdawać sprawę, czego się właściwie chce. Jest wiele innych miejsc na świecie, gdzie można pracować nad pomysłami — studio jest na to za drogą.



NEIL PEART (dr)

Artykuł na temat Rush, w którym ani razu nie pada nazwisko producenta Terry'ego Browna, nie jest artykułem wartym zainteresowania czytelników. To właśnie Brown niemal od raczkowania tria z kraju Olimpiad w Montrealu i Calgary pomagał muzykom ustawiać charakterystyczne, pełne, natychmiast rozpoznawalne brzmienie. Rozstali się po „Signals”. Lifeson: *Rozmawialiśmy z Terry'm i wyjaśniliśmy mu, że chcemy nauczyć się czegoś nowego. Naturalnie był on rozczarowany, ale mimo tego dał nam mnóstwo pożytecznych rad na co szczególnie powinniśmy uważać, a czego lepiej nie robić.*

KONCERT

Artyści zrzeszeni w Rush wiele wysiłku wkładają w to, by ich zespół był równie dobry zarówno w studiu, jak i na scenie. Sporą uwagę przywiązują do tego, by w ognistych warunkach live w miarę dokładnie reprodukowali pomysły utrwalone na płytach. Oczywiście największy problem z Geddy'm, który wziął na swoje barki tak wiele funkcji... Śpiewając miota się między basem i keyboardami, a gdy nie da rady grać „normalnie”, podpira się to „pedałowym syntezatorem”, to pedałowym basem. Czasem — jeśli już nie może się roztrząść — na pedałowym basie pomaga mu Lifeson, czasem pewne partie odtwarzane są z taśmy. W każdym razie Lee na koncertach się nie nudzi... Zdarza się — opowiada — że muszę zmienić frazę by pogodzić śpiewanie i granie, ale naprawdę próbuję śpiewać i grać równocześnie. To dla mnie takie wyzwanie (...). Dzięki doświadczeniu próbuję układać partie śpiewu i basu tak, by nie kłóciły się ze sobą, by mój mózg mógł iść tym samym tropem.

Rush stara się zachować równowagę pomiędzy dozowaniem wrażeń muzycznych i widowiskowych, choć zdarza się, że oprawa koncertów przekracza granice rockowego standardu. Peart: *Wiemy jak ważne jest to, aby w czasie koncertu utrzymać podniecenie widowni. Projektacja filmów z tyłu sceny jest jeszcze jednym sposobem na podtrzymanie tego podniecenia. Wiemy, że istnieje kilka części naszego występu, które nie są tak aktywne muzycznie jak inne, tak więc najlepszą rzeczą jest upewnić się, że uwaga ludzi skoncentrowana jest na scenie. Efekty nic nie odbierają muzyce — jest to tylko kwestia jej podkreślenia lub zilustrowania. Mimo tego Kanadyjczycy rzadko decydują się na prezentację utworów spokojniejszych (np. „Losing It”), ów brak rekompensując choćby solówkami „dodatkowymi” (np. perkusisty w instrumentalnym „YYZ”), nie mówiąc już o niesamowitym zgraniu.*

★ ★ ★

O Rush można w nieskończoność, ale ta dawka powinna wystarczyć...

JAN SKARADZIŃSKI

AGENCJA ARTYSTYCZNA CCS Intermedia

organizuje na terenie
całego kraju

- koncerty
- imprezy kameralne
- plenerowe
- i okolicznościowe
- festiwale
- spotkania autorskie
- z gwiazdami sceny,
- estrady małego
- i dużego ekranu
- nagrania dźwięku
- promocję krajową
- i zagraniczną.

Reprezentujemy najpopularniejszych artystów rockowych i estradowych, aktorów, prezenterów i inne osoby popularne.

Warszawa tel.:
37-73-61,
357-139
godz. 10—15

TD-428/1/

ALEX LIFESON (g)



"Kimże jest Ten, który mocą swoją tak bardzo góruje nad nami, że siła nasza nie przeciw niemu nie znaczy? - pytał czarownik, zadziwieni. - Zważcie, rzekł jeden z nich. - O nowości..."

puk puk

Bogdan Prejs

ALL YOU NEED

słyszałem że kopał w głowy
wielbicieli którzy przed sce-
ną
zbyt mocno wyrażali swój
entuzjazm
był zwykłą świnią powiedział
jego przyjaciel Paul
możliwe że śpiewając give
peace
a chance wcale nie myślał
make love not war
możliwe że go nie było
możliwe że Marc Chapmān
strzelił do cienia
możliwe że wszystkim
czego potrzebuję
nie jest miłość

Ciekawe, że młodych poetów częściej inspi-
ruje epoka Beatlesów niż czasy dzisiejsze —
mamy drugi już w tym cyklu, a nie ostatni w
archiwum wiersz o Lennonie. Autor, Bogdan
Prejs (ur. 1963), mieszka w Zabrze. Studiuje (a
może już skończył studiować?) polonistykę na
Uniwersytecie Śląskim. Publikował trochę wiers-
zy w prasie literackiej, wydał dwa arkusze
poezji: „Jak gdyby nic się nie stało” i „Nie
patrz nikomu zbyt głęboko w oczy”. Pamiętam,
że kilka lat temu lubił chyba już zapomnianą
kapelę o nazwie Histeryk Filip...

P.B.

przed świętami, po świętach

13 grudnia 1970 roku Jerzy Grotowski spot-
kał się ze studentami i profesorami w auli New
York University. Rozmowa, a właściwie wykład
Grotowskiego, wydrukowany przez Instytut
Aktora Teatru Laboratorium, opatrzony został
tytułem „Święto”. Definiowane jest ono tak:
„Na początek, aby było miejsce i swoi, a póź-
niej, żeby przyszli także nieznanzi swoi; czyli na
początek, by nie być w tym samemu, a później,
abyśmy nie byli w tym sami. A co oznacza
swoi? To ci, którzy oddychają tym samym
powietrzem i — można by powiedzieć — podzi-
elają nasze zmysły”. Co jest możliwe wspólnie?
Święto”.

Dumając dzisiaj nad sensem wypowiedzi, któ-
rej konsekwencje spowodowały istotne prze-
obrażenia całej współczesnej sztuki, muszę
stwierdzić, że w dzisiejszym świecie „praw-
dziwe święto” jest coraz mniej możliwe.
Ot, choćby z tego powodu, że coraz mniej tych,
którzy „oddychają tym samym powietrzem i
podzielają nasze zmysły”. A przede wszystkim
— nie ma miejsca. Jest tylko tęsknota — za do-
mem lub miejscem, gdzie można czuć się jak w
domu. Więc ważniejsza staje się wędrownia. Po-

dążanie za pierwotnym znaczeniem i sensem
słów. Albowiem „Niktóre słowa umarły, mimo
że ich jeszcze używamy. Umarły nie dlatego, że
nie należałyby je zastąpić innymi, ale dlatego, że
umiera to, co oznaczają”.

O muzyce — nie mówić, nie pisać, nie opo-
wiadać. Muzykę się gra i tworzy. Słucha i
przeżywa. Ale czy są jeszcze możliwe rozmowy
o muzyce? Wymiana myśli i wrażeń, odczuć i
pomyśleń?

Aby się obudzić pierwej trzeba zasnąć snem
zwykłym, głębokim. Zасыpanie i budzenie
się to przejścia, stany naturalne. W dzisiejszej
rzeczywistości zabrakło nam już naturalnego
snu. Są majaki, maligna, sny narkotyczne i neu-
rotyczne. Z takich snów nie ma przebudzenia.
Wejść w sen to wejść w naturalną zwyczajność.
Jest więc czymś zwyczajnym praca, węd-
rówka, spotkanie. To są zwykłe zdarzenia.
One tworzą zwyczaj codziennosci. Codziennosc
jest jak sen. Z niej można budzić się od czasu
do czasu. I to właśnie ujawnia przykazanie o
„świeceniu świętego dnia”.

SŁAWOJ MERLIN

TEGO SŁUCHAM:

JAJCO

- Prince — „Lovesexy”
- Van Halen — „OU812”
- Jimi Hendrix — wszystko

WLADYSLAW KOMENDAREK

- Muzyka ludowa
- Tangerine Dream — „Live Miles”
- Nie słucham przebojów z radia

STEVE HARRIS — Iron Maiden

- Genesis — „Supper's Ready”
- Jethro Tull — „Thick As A Brick”
- Yes — „Close To The Edge”

gdzie jest pol — ska?

Reggae — w slangu jamajskim patois ozna-
cza coś przeraźliwie biednego, dzikiego, ale
zarazem coś niezwykle godnego, pełnego du-
my i wolności.

Reggae — to naturalne uczucie płynące pro-
sto z serca i wielka wiara wynosząca ducha
ponad marność tego świata.

Jamajscy Rastafarianie żyjący w ascezie,
zintegrowani z przyrodą, walczą z **diabłem w
pieniędzy**. Występują z orężem własnej afry-
kańskiej tradycji, muzyki i pieśni — w walce z
każdą formą przemocy. Ich credo to: *Nie ma
ludzi złych. Są tylko ludzie słabi, w których w
nieustannej walce doczesnego życia, zło prze-
waża nad dobrem. Pieśniarze Rasta muszą
znaleźć w sobie taką siłę, by tchnąć w siebie
ducha, który pomoże przezwyciężyć zło w so-
bie. Mówią też: Spójrzcie na lwa, króla naszej
dżungli. Gdy jest głodny i wyrusza na polowa-
nie, to zabija tylko jedną antylopę by się nasy-
cić. Wy zawsze chcecie więcej — na zapas.*
Twierdzą, że człowiek jest integralną częścią
boskiej natury i nie powinien czuć się jej abso-
lutnym panem. Winien współżyć ze zwierzęta-
mi i roślinami, a czerpać z owoców boskich tyl-
ko tyle, by zaspokoić potrzebę.

To jest wiodący nurt w pieśni roots-reggae,
której słucha się ostatnio także i u nas. Trans-
bębnow porywa do tańca, huk elektrycznych gi-
tar pozwala się wyżyć, ale dominuje „słonecz-
na” nuta czerpana z promieni danych w natu-
ralny sposób Jamajczykom i Afrykanom. Lu-
dzie śpiewają razem melodyjne refrezy, które
są jak hasła. Później dociera do nich myśl za-
warta w słowach. Oczywiście u nas komunika-

cja jest opóźniona ze względu na barierę języ-
kową, ale słuchacze wierzą autentycznej wypo-
wiedzi ludowych artystów. Tego się nie da
oszuścić. Postawy pieśniarzy Rasta stają się
pewnym wzorcem dla młodzieży. Młodzi prze-
jmują to jak nową modę, którą czerpią w ostat-
nich trzydziestu latach głównie z muzyki.

Bezpośrednia konfrontacja z artystami reg-
gae może być niezwykle pożyteczna. Młodzi
oprócz poznania — starej i bogatej, choć egzo-
tycznej i nie zawsze zrozumiałej dla nich kultu-
ry, afrykańskiej — mają okazję przekonać się,
że są to ludzie niezwykle dumni z własnego
dziedzictwa, historii. Niech będzie to sygna-
łem, że trzeba być sobą i czerpać z własnych
źródeł. Bardzo ważne jest by narodziła się w
Polsce — nasza autentyczna, ale współczesna
— powstała tu i teraz — **muzyka ducha**. W
tych trudnych czasach, gdy panuje powszechne
zwątpienie, niewiara i szakalizm, jest to nie-
zwykle ważna i trudna do wypełnienia misja.

WŁODZIMIERZ KLESZCZ

reakcyjny bałagan czyli w zasadzie tak, ale...

— Joe Cocker tak, Jeff Beck nie; Blood
Sweat & Tears tak, Iron Butterfly nie; Crosby
Stills Nash & Young tak, Moody Blues nie (NS
9/88; s. 5)... Łobodziński teraz kłęczy na gro-
chu za te fantastyczne informacje, choć Wood-
stock w jego wersji byłby z pewnością jeszcze
lepszy.

— Życzliwi twierdzą, że tytuł nabazgrany u
samej góry 13 strony tegoż 9 nru brzmi „Pieśni
Maldorora”. Może i tak. Nasz bibliotekarz jest
zdania, że to Lautréamont się pomylił.

— Dalej: na stronie 26 NS 9 wyteż wzrok i
znajdź skład grupy Aurora. Następnie wydzia-
rgaj nazwiska „Walcha” i „Rzuciłto”, a w kalli-
grafuj „Wallacha” i „Rzuciłto”.

— Przy powielaniu drzewka z NS 10/88 s. 5
uciekło w drukarni słówko BLUESBREAKERS.
Przyjużujemy do niego wagę. Wpisz na czer-
wono, na prawo od JOHN MAYALL'S.

— Jeszcze NS 10, s. 28: zerknij na hit-LP-li-
stę, sekcja USA (tak na lewo od Pospieszal-
skiego) i postaraj się zobaczyć pod nrem 5 wy-
raz RANGE a nie RAINS. Powód jw.

Poza tym:

— Trochę ucichło w prawie Konkursu FOTO.
Od stycznia znów będzie głośno. Czekaj na no-
we reguły.

— Jeżeli chcesz przeczytać dobry wywiad
z naszą Basią kochaną, to musisz jeszcze tro-
chę poczekać. Ale kobylka u plotu!

Reaktor Odpowiedzialny

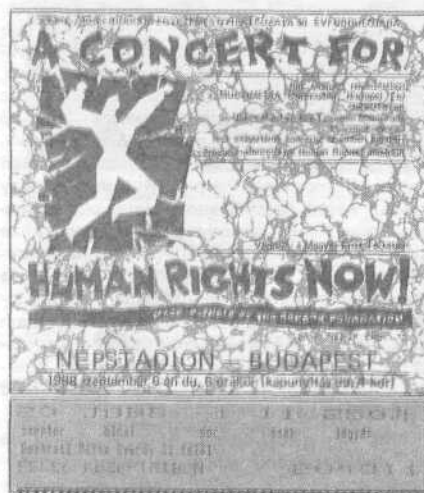
mikołaj

Sztuka, jeśli ma być wartościowa, musi uwzględ-
niać, gdzie są domy i mogiły jej bohaterów... Żaden artysta nie tworzy tylko dla epato-
wania swym dziełem, dla zdobycia ulotnej
chwały... Rolą sztuki jest twórcze wyprzedza-
nie wielkich dzieł historycznych niezbędnych
całemu narodowi, podobnie jak i angażowanie
się w ich sławienie post factum... Jeśli w Vid-
raru wznosi się zapórę — wspaniały i wielce
wymowny pomnik elektryczności, jeśli epoko-
wa budowla, jaką jest kanał Dunaj — Morze
Czarne zainspirowała setki reportaży i tysiące
utworów lirycznych, jeśli metro ma już swych
artystów, którzy zaprojektowali i wzniesli sta-
cję, to dowodzi, że sztuka jest obecnie żywa,
ulepsza życie.

NICOLAE CEAUȘESCU

AMNESTY INTERNATIONAL

Nepstadion, Budapeszt



... Dochodzi godzina osiemnasta. Tłum na płycie stadionu i w sektorach rośnie z minuty na minutę. Za chwilę rozpocznie się jeden z koncertów trasy obejmującej swoim zasięgiem Europę, Afrykę i obie Ameryki. Trasy zorganizowanej przez Amnesty International dla uczczenia czterdziestej rocznicy podpisania Karty Narodów Zjednoczonych dotyczącej praw człowieka. Impreza ta z pewnością przejdzie do historii, ponieważ ma ona za sprawą muzyki zjednoczyć ludzi w walce o swoje prawa. Koncerty te powinny odbyć się we wszystkich krajach, w których praw tych wciąż się nie przestrzega. Lecz ze względów organizacyjnych musiano posłużyć się pewnymi symbolami. I tak np. Budapeszt symbolizować ma zapewne cały blok wschodni, a Buenos Aires — Amerykę Północną.

Przedsięwzięcie to pochłonęło masę pieniędzy pochodzących od różnych fundatorów (np. Papieża Jana Pawła II) czy ogromnych spółek (firma Reebok). Cały zysk z tej trasy zostanie przekazany do kasy Amnesty International — organizacji, której jednym z założeń jest walka o prawa człowieka. Z tego powodu muzycy występujący podczas imprezy grali za symboliczne stawki. A ich dobór nie był przypadkowy — wszyscy w swych utworach poświęcają wiele miejsca sprawom politycznym.

To oni właśnie wychodzą na scenę. Ryk zachwytu stu tysięcy tłumu i burza oklasków. Widzę Stinga, jest Bruce Springsteen i Peter Dinklage... Ta mała, ciemnoskóra postać to chyba Tracy Chapman? Nie! To Youssou N'Dour. Z mojego miejsca nie mogę ich rozpoznać, a dwa ekrany video nie zostały jeszcze uruchomione — jest zbyt jasno.

Koncert rozpoczyna wykonana wraz z publicznością pieśń przewodnią tej imprezy, której refren brzmi następująco: *Podnieś się. Powstań! Nie rezygnuj z walki. Walcz o swoje prawa!*

Następnie Sting zapowiada **Youssou N'Doura** — senegalskiego artystę o wspaniałych możliwościach wokalnych. Tak, to ten sam, który wykonywał chórki na „So” Petera Gabriela!

Niezaprzeczalną ozdobą jego, trwającego niewiele ponad trzydzieści minut, występu były

popisy taneczne rewelacyjnej czarnoskórej tancerki. Odniosłem jednak wrażenie, iż mocny jak dzwon głos Youssou i afrykańskie rytmy nie wstrząsnęły publicznością.

Potem przyszła kolej na budapesztański zespół **Hobo Blues Band**. Ta koszmarnie grająca grupa wystąpiła chyba tylko z powodu politycznych tekstów niektórych utworów. Jeden z nich traktował np. o obecnej sytuacji w Siedmiogrodzie.

Potem na scenie pojawiła się drobna postać **Tracy Chapman**. I znów szok — ona była sama, bez muzyków towarzyszących! Uzbrojona jedynie w swój mocny, lekko zachrypnięty głos i gitarę klasyczną dała koncert dobry, ale nie taki jakiego się spodziewałem tzn. rewelacyjny. Po wrażeniu, jakie wywarła na mnie jej płyta, nastawiony byłem na usłyszenie piosenek wykonanych podobnie — z wykorzystaniem sekcji rytmicznej, klawiszy itd. ... Natomiast to, czego byłem świadkiem na koncercie, przypominało raczej występ przy ognisku. Utwory pozbawione były przebojowości — a może o to jej właśnie chodziło?

Następnie Tracy Chapman zapowiedziała **Petera Gabriela**.

Nigdy przedtem nie miałem okazji widzieć go na żywo, a to, co zobaczyłem przerosło moje najśmielsze oczekiwania — było wspaniałe! Ten człowiek to perfekcjonista! Dał koncert, którego się nie zapomina. Jego zachowanie sceniczne było dopracowane w każdym ruchu i geście, nic nie pozostawało bez znaczenia. Przeraził mimiką i żołnierskim marszem przy wykonywaniu „Games Without Frontiers”, aby po chwili bawić malpim zachowaniem podczas „Shock The Monkey”. Od pełnego luzu przy „No Self Control” przechodził do zadumy i powagi, śpiewając „Don't Give Up” czy „Red Rain”. Wszystkie piosenki zapowiadał po węgiersku, omawiając w kilku słowach ich treść. Na bis zagrał utwór poświęcony temu, który stracił życie w walce o prawa człowieka dla czarnych mieszkańców RPA — Biko. Utwór doskonale pasujący do symboliki całej imprezy.

Po występie Gabriela nastąpiła dłuższa przerwa na zmianę scenografii wypełniona minieralem rysunkowym, pokazywanym na video ekranach, opowiadającym o radościach i troskach ludzi współczesnego świata. W tym samym czasie w tłumie przed sceną pojawiają się niesione przez kilka osób transparenty z napisami: „Autonomia dla Siedmiogrodu”, „Dajcie ludziom wolność” i inne — w języku węgierskim — dla mnie niestety niezrozumiałe.

Wędrówki ludów do minibarów rozmieszczonych w różnych punktach stadionu kończą się, gdy przed mikrofonem staje konferansjer — *Panie i Panowie — za chwilę wystąpi przed wami doskonały muzyk, kompozytor, ... nauczyciel... autor tekstów — Sting!!!*

O Bogowie! Wreszcie, po długich latach oczekiwań, jedno z największych pragnień mego życia spełni się — będę widział na jego koncercie!

Wychodzących na scenę muzyków powitaly szaleńcze owacje. Sting rozpoczyna od swojego, jak twierdzi w wywiadach, credo życiowego — „King Of Pain”. Następnie przedstawia muzyków towarzyszących i zapowiada kolejny utwór jako dedykowany murzyńskiemu dzieciom więzionym w RPA — słyszę pierwsze takt „If You Love Somebody Set Them Free”. Czy on oszalał?! Potem doskonale znany z albumu The Police „Ghost In The Machine” i koncerto-

wej płyty Stinga „Bring On The Night” — „One World (Not Three)”. I wreszcie piosenka poświęcona młodemu amerykańskiemu inżynierowi Benowi Linderowi, zamordowanemu w Nikaragui trzema strzałami w głowę, przez kontras — „Fragile”. Kończące utwór solo gitarowe staje się pierwszymi dźwiękami „They Dance Alone”. Inspiracją do „They Dance Alone” były rozmowy, jakie autor przeprowadził w Chile z więźniami politycznymi podczas Amnesty Tour w 1986 roku. Potem — „Fortress Around Your Heart” oraz trwające ponad jedenaście minut „Bring On The Night” / „When The World Is Running Down...” ze wspaniałym jazzowym sołem na klawisze Kenny Kirklanda. W tym czasie Sting wraz z Brandfordem Marsalisem i Dollette McDonald tańczy i biega wzdłuż sceny, co wprawia widzów w zachwyt. To się chyba nazywa luz profesjonalistów(?). Potem — „Don't Stand So Close To Me”. I... to koniec! Pomimo okrzyków i gorących oklasków publiczności — bisu nie było!

Krótką przerwą znów oddala występ kolejnej gwiazdy na kilka minut.

Na scenie zjawia się Sting — teraz jako host: *Panie i Panowie, oto największy muzyk rock'n'rollowy świata — Bruce Springsteen!!!... i The E-Street Band!* Cóż, nie wiem czy nie przesadził trochę z zapowiedzią.

The Boss zaczął od kawałków z przedostatniej płyty — „Born In The USA”: „Cover Me” i „Working On The Highway”. Kiedy wykonywał pierwszy z wyżej wymienionych odkrywałem, iż ok. 90 procent widzów urodziło się w USA... Publikę śpiewała z Bossem. Potem Springsteen zaprosił do pomocy Stinga i razem wykonali „The River” (dla mnie bomba). Następnie już bez niczyjej pomocy, może dlatego tak się męczył — a przynajmniej takie sprawiała wrażenie jego nabiegła krew i wykrzywna, jakby grymasem bólu twarz — zaśpiewał „Cadillac Ranch” ze wspaniałym przejściem do „War!”. The Boss też przemówił do publiczności po węgiersku. Czytał z kartki, ale szło mu całkiem dobrze — tak przynajmniej wnioskuję z obserwacji publiczności. Zrozumiałem tylko dwa słowa — *Amnesty International* — więc pewnie o tym była mowa... Później wspomniał Bruce ponownie chwycił za gitarę i przypomniał „My Hometown”, „Hungry Heart” oraz „Glorious Days”. Koncert zakończył żywiołowym wykonaniem „Born To Run” oraz trzema fikołkami, ale wrócił jeszcze na bis, aby zaśpiewać „Raise Your Hand”. Po chwili dołączyli pozostali bohaterowie wieczoru i znów wspólnie z publicznością wykonali tę samą co na początku pieśń przewodnią imprezy...

I tak ok. godziny 2.30 budapeszteński „Concert For The Human Rights Now!” był już tylko wspomnieniem. Dla mnie wspomnieniem na całe życie.

PIOTR SZARŁACKI

CHARLOTTE AND THE HARLOTS (czyli tajny koncert Iron Maiden)

Queen Mary's College, Londyn

Jeśli nie stać cię na to, żeby pojechać na „Monsters Of Rock” do Donington, to może zadowol cię sekretny koncert Maiden w Londy-

...oddadzą się na powrót w nasze ręce. A i to zostawił Syn Boży namiestników swoich, którzy mogą uratować przed nami każdą duszę, niechby i najbardziej grzeszną, byle za-

Ładny sekret, jasna cholera. Czarne literzy-
ska SOLD OUT witają mnie z właściwą Angli-
kom niegościnnoscią. Matka głupich nie opu-
szcza jednak swego nieoprawnego syna. *Ty, suchy, co się gapisz jak chłop?!* — rzuca mi w
twarz pstrokato, odziany straceniec — *Chodź
na zaplecze, Nicko tu jedzie, będzie rozdawał
bilety*. Biegnę truchtem za różową skórąw, ja-
kisi parking, czerwony Golf. Wysiada najbrzyd-
szy perkusista świata i pada w ramiona czter-
dziestu londyńskich fanów. 40 autografów, 40
zdjęć i tekst, który wylatuje spod płaskiego jak
antymetalowy dowcip nosa: *Mam dziesięć bile-*



Jestem pierwszy na widowni. Trwa jeszcze sound check. Rutyniarze, mogliby chyba grać te cuda z rękami w kieszeniach. Na cholere im ta rozgrzewka? No i czego machasz, szefie szefów? Ty też pamiętasz? Basta, przecież to było dwa lata temu.

Jest normalnie, czyli do znużenia perfekcyjnie — sceną i publicznością, zawiadują na przemian Bronek i Stefan Harnaś, z lewej strony — Dawid Murajski, który wymiata „na śpiąco”, z prawej — Adrian Kowal pieszczący swą gitarę w pociesznym skupieniu. Wytrenowana spontaniczność, tego akurat wieczoru podana sauté, bez garniru superprodukcji Uczta, której gospodarzami są dyktatorska reżyseria i metalowe aktorstwo, serwujące eleganckie dania — smakołyki pozbawione improwizatorskiego pieprzu. Cóż, czas i pieniądze mogą nadwrzć wszystko...

Tylko, że... Obojętnie czy gramy dla 20 000 ludzi w Madison Square Garden czy dla garstki kumpli w londyńskim klubie, zawsze dajemy



Z siebie wszystko — podkreśla często w wywiadach prasowych Steve Harris. I nie buja. Jest nas tu około tysiąca i dostajemy niezbity dowód na to, że w maidenowskim idiolecie rozgrzewka znaczy maraton.

KRZYSZTOF WACŁAWIAK

PS. Rockin'Tal to Steve and Rangi (so what about the job, you bastard?).

**INXS/ ZIGGY MAR-
LEY AND THE ME-
LODY MAKERS**

Madison Square Garden, Nowy Jork



Gońcy, łepki sierpniowy wieczór w Nowym Jorku. Już od wczesnych godzin popołudniowych zbierają się pod Madison Square Garden tłumy. Biletów oczywiście nie ma od tygodnia, ale jeśli kogoś stać na zapłaceniu podwójnej ceny (\$40), to wybór jest bardzo bogaty — ulica aż roi się od „koników”. Mimo to organizacja imprezy jest wzorowa. Dużo policji, która — o dziwo — zamiast utrudniać wejście, sprawnie kieruje nieprzebrane tłumy do odpowiednich sektorów. Publiczność składająca się w przeważającej mierze z „middle class kids” zachowuje się poprawnie, panuje atmosfera oczekiwania i zabawy.

Punktualnie o ósmej gasną światła i na scenie pojawia się zespół potomka słynnego Boba Marleya. Grają dla prawie pustej sali (większość publiczności zaopatruje się w tym czasie w hot-dogi i coca-cole), nie wywołując zbytniego entuzjazmu. Dopiero gdy na scenie pojawia się **Ziggy Marley**, temperatura na widowni podnosi się o parę stopni (na szczęście tylko w przenośni, sala jest w pełni klimatyzowana). Chłopcy grają poprawnie. Młody Marley nieźle sobie radzi z mikrofonem (i dużo gorzej z gitarą, którą szybko odkłada na bok), dwie urodziwe panienki wspomagają w chórkach i próbują robić show. Niestety, ten ostatni czasownik najlepiej oddaje charakter całego czterdziestopięciominutowego koncertu. Młodego Marleya wręcz zżera trema, ledwo rusza się na scenie.

reszta zespołu (oprócz panienek) też tkwi na swych miejscach. Zdecydowanie brakuje charakteru i tego „czegoś”, co wyzwała pozytywne wibracje. Mimo rozbudowanej sekcji rytmicznej nie ma pulsacji i siły. Muzyka jest mdła i bez wyrazu, zbyt eklektyczna jak na mój gust — kapela gra pseudo-reggae w funkowo-dyskotekowych aranżacjach, czasami nawet w jazzowych harmoniach. Technicznie bez zarzutu, ale to jeszcze nie to. W każdym razie rolę „zapchajdziury” przed występem gwiazdy spełniają wzorowo — w czasie ich występu sala zapełnia się stopniowo do ostatniego miejsca, publiczność powoli rozgrzewa się podgrzewając w fotelach. Wreszcie ostatni numer, jedyny do tej pory hit młodych pretendentów do sławy, rasowy kawałek reggae zatytułowany, nomen omen, „Tomorrow's People” wywołuje zwyższy aplauz wśród zdecydowanie białej publiczności. Ziggy i jego Melody Makers schodzą ze sceny bez bisów i następuje półgodzinna przerwa, w czasie której techniczni z przerażającą dla polskiego muzyka sprawnością instalują tony sprzętu **INXS**. Siedząc blisko sceny, mam okazję oddać się brzydkiemu uczuciu zazdrości, patrząc jak osobisty techniczny Gary Beer-sa (basisty) wnosi, stroi i ustawia cały rząd bezprzewodowych Fenderów.

Ponownie gasną światła i atmosfera zmienia się nie do poznania. Spokojna do tej pory publiczność zrywa się z miejsc (na których już nie usiadłże do samego końca) i wita ogłuszającym rykiem idola amerykańskich nastolatków — Michaela Hutchence'a i jego kolegów. Rozpoczynają ostro. „What You Need” w wersji koncertowej brzmi jeszcze bardziej porywająco niż na przedostatniej płycie „kangurów”. Cały koncert, jeden z cyklu „Calling All Nations Tour”, będzie promocją materiału zawartego na tej i ostatniej, przebojowej płycie „Kick” z zeszłego roku.

Niekwestionowanym liderem i mistrzem ceremonii jest Hutchence — obwołany przez wielu następcą Jima Morrisona, a przez pięć-knjszą część widzów symbolem seksu. Od początku robi z publicznością co chce. Porusza się swobodnie po całej scenie (znowu bezprzewodowy mikrofon), każde jego zbliżenie do krawędzi sceny wywołuje pisk panienek, kojarzących się tylko z najlepszymi latami beatlemanii.

Już w pierwszym numerze ma całą damską część publiczności „ugotowaną”, kiedy śpiewając „What You Need?” udziela na to pytanie odpowiedzi, wkładając sobie mikrofon między nogi. Po tej rozgrzewce następny hit — „Guns In The Sky”. Publiczność znowu szaleje, gdy w połowie utworu Hutchence pada jak zabity i leży na scenie w powodzi czerwonych świateł. Zespół jest w świetnej formie, dwaj gitarzyści biegają po scenie, wspinają się na platformy wzniesione nad głowami publiczności, perkusiści grający na zestawie wzbogaconym o elektroniczne bajery co chwila wstaje i gra na samych kotach. Ubrani na czarno basista porusza się jak to tylko basiści potrafią — oszczędnie, w miejscu, ale z piorunującym efektem. Brzmiało doskonale. Muzycznie kojarzą się często z Rolling Stones, wczesnym Jamesem Brownem (zwłaszcza, gdy drugi gitarzysta gra na saksofonie) i Simple Minds — jednym słowem mogą się podobać. I podobają się! Publiczność szaleje teraz przy „Listen Like Thieves” i „Kiss The Dirt”. Po tych „ogniowych” kawałkach chwila wytchnienia — na scenie zostają tylko Michael i Kirk Pengilly z akustyczną, ostro brzmiącą gitarą. Siedząc na wysokich stołkach pośrodku sceny śpiewają „Shine Like It Does” przy ściemnionych światłach — na w-



INXS za kulisami

downi natychmiast pojawiają się setki zapalonych zapalniczek. To jednak tylko chwilowe zwolnienie tempa — za chwilę sala eksploduje ogłuszającym wrzaskiem po pytaniu Michaela *What about new sensations?* i pierwszych dźwiękach „New Sensations” granego tutaj na okrągło w MTV i radiu. Kawalek rzeczywistości wywołuje new sensations — po kręgosłupie maszeruje mi 10 000 oszałamiających mrówek, które nie chcą się odcepić, gdy chłopcy zupełnie już rozgrzani grają „Devil Inside”. Hutchence w międzyczasie zdążył uwolnić się od przydługiej białej koszuli i świeci nagim torsiem wśród czerwono-fioletowych, iście plekiełnych mgieł. To wszystko razem uwalnia „diabła w środku” u paru rozentuzjasmowanych panienek, które wdzierają się na scenę i ściskają, tulą i całują Michaela. INXS dalej podgrzewa atmosferę i przy „The Loved One” na scenę wpada dwóch facetów i usiłuje odtanńczyć z Michaeliem jakiś erotyczny taniec. Uwolniony od podnieconych młodzieńców Hutchence, niewzruszony nawet bukieta czerwonych róż które padają na niego ze wszystkich stron, dalej czaruje. Wreszcie pada sakramentalne: *Thank you, good night* w które nikt i tak nie wierzy. I słusznie, bo po minucie ogłuszającego aplauzu zespół znów pojawia się na scenie. Mike tym razem ubrany w obcisłe szorty do jazdy na rowerze (najnowsza moda) i czarną skórę. Opowiada publiczności, jak to dobrze być znowu w N. Y. City. I kolejna porcja przebojów z „Kick” — zaczynają od „Need You Tonight”, przechodząc w spokojny, wydłużony solówką saksofonu „Mediate”. Potem następuje coś, co wygląda na grand finale — typowy koncertowy „wymiękacz” — „Never Tear Us Apart” z pauzą trwającą ponad minutę (przy wygaszonych światłach, publiczność jak zamrożona, cisza wzmacnia dramatyczne napięcie — znowu te mrówki), ale to jeszcze nie koniec, przed nami „Mystify”, „This Time” w prawdziwie metalowej wersji — nie-ruchawy do tej pory „klawisz” łapie za gitarę i kawałek zagrany na trzy gitary brzmi potężnie. Wreszcie finałowy „Kick” i koniec. Zapalają się światła i wychodzimy na pulsujący muzyka Broadway. Ale to już zupełnie inna historia...

PAWEŁ BULSKI

RAWA BLUES'88

Spodek, Katowice

Po raz ósmy kilku organizatorów, zasiadających na krystalicznie świeżym Górnym Śląsku, a wśród nich przede wszystkim katowicki Alma Art i Klub Studencki Akant, zorganizowały Ogólnopolski Festiwal Bluesowy Rawa Blues.

Pomiędzy klubem tego Festiwalu, a Halą Widowiskową Spodek, gdzie rozegrał się finał — płynie ściek o nazwie Rawa. Stąd właśnie wzięła się nazwa tej imprezy, choć co bardziej złośliwi mówią, że był i jest to festiwal Ireneusza Dudka, animatora ruchu bluesowego w Polsce. Jeszcze inni twierdzą, że Tadeusz Nalepa jest ojcem polskiego bluesa i tak dookoła Wojtek. Fakt pozostaje faktem, że w maju, podczas „rozgrzewki” w Akancie, mają okazję pograć dziesiątki młodych ludzi, a na scenie głównej Spodka, we wrześniu — powalczyc, choć bez nagród i dyplomów — z zawodowcami. Ci profesjonalni bluesmeni to przede wszystkim wspomniany Nalepa, Dżem, Easy Rider, Dudek, Stanisław Sojka (rewelacyjny występ), ale też i młodzi — laureaci poprzednich festiwali, jak choćby Maciej Maleńczuk czy Nocna Zmiana Bluesa.

Jak czuje się nasz krajowy blues? Jest bardzo zróżnicowany. Rutyniarze tacy jak Nalepa, Dżem, Sojka czy Dudek wprowadzają tylko nieznaczne zmiany w swoim repertuarze i są przez krytyków atakowani za prezentację rokrocznie tego samego programu (mija się to z prawdą, albowiem niemal wszyscy wymienieni artyści włączają do repertuaru nowe pozycje), wzbogacając swój występ o utwory własne (Nalepa, Nocna Zmiana Bluesa, Dudek, Dżem), ale też chętnie sięgają po standardy muzyki bluesowej i rhythm and bluesowej (Zbigniew Niedzielski, Easy Rider). Grają jak potrafili, trudno im przełamać pewne nawyki wyniesione z lat młodzieńczych, gdy ćwiczyli „na bazie” szkoły chicagowskiej. Niektórzy — jak choćby laureaci tegorocznej „Rawy” — Zdrowa Woda z Raciążka k/Ciechocinka, wprowadzają elementy humorystyczne do swych tekstów i w pewnej chwili nie wiadomo, czy to jest jeszcze muzyka bluesopodobna czy już pop. Zastanawiający jest fakt, że 17 i 18 września, na dwóch koncertach obecnych było prawie 11 tysięcy ludzi, obcujących z 28 zespołami i solistami. Zawodowcy, pomieszani z amatorami — i w pewnej chwili trudno dostrzec różnice pomiędzy nimi. Ta „mieszanka młodości z rutyną” wypadła bardzo obiecująco. Proszę nie pytać

Skazany na bluesa

FOT. M. MAK



mnie o to, czy zawodowcy byli tak słabi czy amatorzy aż tak dobrzy. Publiczność na tak dużym, trwającym prawie sześć godzin koncercie (jeśli stoi i siedzi w ogromnej hali od pierwszego do ostatniego wykonawcy) daje odpowiedź, że z polskim bluesem, albo inaczej — z artystami polskimi, grającymi bluesa jest całkiem nieźle. I co dość istotne, osobowość prowadzącego koncert pierwszego dnia red. Jana Chojnackiego (człowieka, który o bluesie wie prawie wszystko, a na scenie zachowuje się dyskretnie, z wielką kulturą choć wcale nie sztywno i z namaszczeniem, lecz wręcz przeciwnie — swobodnie i dowcipnie zapowiada kolejnych artystów, wypełniając przy okazji puste miejsca pomiędzy ich koncertami) — ma też swoje znaczenie. O konferansjerze drugiego dnia „Rawy” wolalabym nie pisać z wiadomych tylko sobie względów.

JANUSZ KOSIŃSKI



Prześliczna Żanna

FOT. M. MAK

BRAVO

Pałac Sportu, Wilno

Do Wilna udałem się na free-jazzowy festiwal Jazz Forum. Jednak recenzja będzie o czym innym, bowiem w tym litewskim mieście (znacznie mniejszym od Warszawy) często w tym samym czasie odbywają się dwie albo nawet trzy imprezy muzyczne. Tą drugą był koncert rosyjskiego zespołu Bravo.

W czasie mojego pobytu w Wilnie odbywało się wiele ciekawych rzeczy: trwała głódówka na rzecz zamknięcia pobliskiej elektrowni atomowej, na ulicach wisiały narodowe litewskie flagi i zbierano podpisy pod rezolucją o ekonomicznej niezależności tej zachodniej republiki ZSRR. Stąd nastroje były dość podniesione, choć nie pozbawione niepokoju o przyszłość. Dlatego wileńska publiczność odniosła się niesłychanie chłodno do występu obcej regionalnie grupy Bravo.

Nie będę komentować występu trzeciorzędnej hard-rockowej grupy Zierkało Mira. Nie warto. Za to Bravo...

Bravo to grupa Zanny Aguzarowej, zwariowanej wokalistki, zafascynowanej rosyjskim folklorem z jednej strony, i anglosaską muzyką lat 60-ych z drugiej. Cały koncert to pastisz...

...zwozić synów Ewy i Adama. Czyli nie mógłby któryś z nas oblec postaci ludzkiej, aby kobieta z nim poczęła? Niechaj to uczyni, bowiem istota snująca przez niego...

Zanna wybiega na scenę ubrana w rubaszkę i spódnice mini. Włosy blond, długości 0,7 mm. W rytmie twista tańczy kazaczoka. Śpiewa i bawi się znakomicie. Dobrze bawią się również ci, którzy rozumieją, że to zabawa.

W 1986 roku do biura organizacyjnego jednego z lokalnych radzieckich festiwali został wysłany telegram (z centrali): *Prosimy o niedopuszczenie do występu grupy Bravo. To zespół antyradziecki.* Do występu jednak doszło, a grupa została laureatem. Ten sukces umożliwił kapeli pokazanie się na moskiewskiej scenie obok Ałły Pugaczowej.

Nie będę nikomu wmawiał, że Bravo gra odkrywczą muzykę. Ale ten świadomy plagiat jest popelniany w odmiennej tradycji. Nie potrafiła tego docenić wileńska publiczność i wcale się jej nie dziwię. Oni u siebie mają armaty typu Antis czy Za Rodinu. Ale o nich kiedy indziej.

ADAM GRZEGORCZYK

(Niektórzy z nas widzieli Bravo na jego własnym terenie i mimo to nie mają o nim najlepszego zdania — NS zacierwieniony.)

OBYWATEL G.C.

Hala Wisły, Kraków

Podwawelski koncert byłego lidera byłej Republiki kończył pierwszą część jego jesiennego tournée, tournée ze wszech miar udanego, gromadzącego tłumy fanów i jeszcze raz potwierdzającego, że Ciechowski to artysta najwyższej klasy. Tak, tak — wyżej wymieniony, za plecami mający instrumentalistów dla szerzej publiczności (w większości anonimowych (oprócz Małgorzaty Potockiej — głosy i Wojciecha Konikiewicza — kbd, słyhać i widać było Leszka Biolika — bg, Amadeusza Majerczyka — dr. Stanisława Zybowskiego — g i Michała Kulentego — sax), zaserwował spektakl, który pamiętać się będzie nie nazajutrz czy przez dwa tygodnie, ale dłużej, znacznie dłużej, kto wie, czy nie parę lat. No bo jeśli dobrze wykonaną muzykę Obywatela G.C. opatulił się niezwykłą scenografią ze slajdami po bokach sceny tudzież slajdami i filmami na jej tyle, to jaki ma być efekt? Dodam, że ową scenografię stworzyła obywatelka M.P., a polskie warunki techniczno-finansowe stworzyły tamę nie do przebycia dla innych jej pomysłów (słyszałem o jakichś ekranach dzielących estradę na części).

Obywatel G.C. zafundował grubo ponad dwugodzinny artystyczny podróż godną uznania za największe tegoroczne wydarzenie w naszym roku. Podróż ta, jednorodna i rzemyślana od początku do końca, realizowała się rozmaitymi drogami — od elegancji w stylu B. Ferry'ego („Podróż do ciepłych krajów”) przez zamierzony jakby chłód programu warstwy podstawowej do nieposkromionych, ale jednak kontrolowanych gitarad obywatela S.Z., pierwszego instrumentalisty koncertu. Ciechowskiemu (cały czas zrosnięty ze swą sztuką, żadnych zapowiedzi, dopiero na koniec uśmiech i podziękowania) zarzucano porzucenie tzw. czadu na rzecz tzw. superprodukcji, na co ten odpowiadał, że na czad przyjdzie kolej właśnie podczas „gigs”. I słowo ciałem się stało, przede wszystkim za sprawą gitarzysty, a także szlagierów Republiki, wspierających utwory z wszystkich małych i dużych płyt Ob. G.C. O ile jednak kawałki typu „Moja krew” czy „Poranna wiadomość” wręcz



Ob.Ob. S.Z. i G.C.

FOT. MIROSLAW MIKULSKI

stapiali się z wytworami ostatniego wcielenia Ciechowskiego, to wprowadzenie hitów typu „Telefony” czy „Biała flaga” stanowiło nawet pewien dysonans (w końcu na początku lat 80. omawiany „podmiot wykonawczy” nie był tak dojrzały, tak głęboki), zresztą w najmniejszy sposób nie przeszkadzający publiczności.

A jednak była bariera między koncertem bardzo dobrym a koncertem genialnym, gdy myśl o zakończeniu wręcz budzi gniew, i G.C. tej bariery nie przekroczył. Co to i na czym polegało? Nie wiem! Przeciwna akustyka? Pierwsze hity Republiki? Fakt, że Potocka śpiewała i tańczyła (ona na scenie to nie Yoko Ono, lecz raczej Linda Eastman)? Półgodzinne opóźnienie (ktokolwiek widział koncert w Polsce rozpoczynający się punktualnie, proszony jest o kontakt z redakcją)? To mimo wszystko drobiazgi. Tak więc co? Że nie do końca można się utożsamiać z fascynującym światem sztuki Obywatela? Od koncertu minęły dwa dni, a ani trochę nie jestem mądrzejszy.

Mój czas na pisanie dobiega końca, ręce sekretarza redakcji już wyciągają się po tekst, zaraz rozpocznie pracę zecer, a ja nie wiem, dalej nie wiem...

JAN SKARADZIŃSKI

CON AMORE

Hala Gwardii, Warszawa

Hala Gwardii. Obiekt sportowy po wielu latach użytkowania. Zaniedbany, przynębiająco szary, z bufetem w stylu poczekalni dworcowej oraz wypełnioną smrodem kloaczny z bardzo odległych czasów, jedną tylko toaletą. Oczywiście męską.

Na ścianach surrealistyczne hasła i slogany: *Lokacyjne i depozytowe bony oszczędnościowe*, „Aparatura do sterylizacji suchej”, „Galanteria skóropodobna”...

Głośnieki pełne płaczliwych podziękowań dla magów i zaklinaczy. Że łaskawie pozwolili, że się przychyliłi, że przyłożyli pieczętkę.

Trochę osób pod sceną, niewiele więcej na ławkach. I bijąca w oczy obecność widzów odelegowanych do Hali służbowo. Pełniących swe obowiązki z oddaniem, czujnych aż do końca. Krzepkich i dziarskich. Zdziwionych tym, że tak głośno. I tym, że prujący głośnieki hałas może się komuś podobać. Pewnych swej władzy i siły, wspartej gumowym atrybutem przy boku.

Rock'n'roll po polsku.

★

Był Tilt, nie było Tiltu, jest TILT. Pojechał do Kijowa popatrzeć, jak kończy się to, co się jeszcze nie zaczęło. A wcześniej, na godzinę przed wyjazdem, zagrał w Hali. Trochę rzeczy starych i trochę nowych. Z singla, którego nie będzie, bo w Polsce nie ma już singli. „Za zamkniętymi drzwiami”, „Dziwny czas” i „Nie wierzę politykom”. „Mówię ci, że” z tekstem mocniejszym niż na wydanej kiedyś płycie (*Czy ty nie widzisz, że są tacy, którzy chcą, żebyśmy balili się*). „To nie mój dom” (*W tym domu śmierdzi... to nie mój dom... Kto zabrał mi dom?*) i „Blokada” (*Nie ma blokady a za plecami masz już tylko mur*). Powtarzane w nieskończoność, proste, postrzępione motywy. Hałas i zgilek. Nerwowa muzyka nerwowych czasów. Dlaczego Tilt był na płytach taki wygładzony i ugrzeczniony?

★

Złotousty i Anioły. Zespół Marka Jackowskiego. A zarazem Tony'ego Maimone, tego z Pere Ubu. Takie sobie granie w duchu lat sześćdziesiątych. Właściwie instrumentalne (choć na chwilę dołącza wokalista Robert Gawliński, choć Jackowski deklamuje wiersz-wyznanie o pustce dookoła). Bez pretensji, bez silenia się na wielkość. Oni jednak nie muszą siłać się na wielkość. Chociaż Jackowski tłumaczy się. Że wypadek, że nie było czasu na próby. A w końcu pyta: *Czy zawsze muszę być taki... number one?* Wtedy Maimone przejmuje obowiązki wokalisty. A zespół — gitara, bas i perkusja — nagle krzepnie, nabiera pewności siebie. Wykonuje jeszcze trzy utwory. Wśród nich „Knockin' On Heavens Door” i „Honky Tonk Blues”. Bez pretensji i bez silenia się na wielkość. Z entuzjazmem i radością, których coraz mniej w rock'n'rollu. Ci, którzy na ten krótki koncert dziwnej, polsko-amerykańskiej grupy przyszli, będą go pamiętać.

★

Tak, Jaryczewski naprawdę wystąpił. Z utworzonym na tę okazję zespołem *Coś Za* zagrał na gitarze, a z Oddziałem zaśpiewał „Ten wasz świat”. Jego występ nie był oczywiście, być zresztą nie mógł, wydarzeniem artystycznym. Dla wielbicieli Oddziału był jednak czymś więcej. Przywołaniem ciepłych wspomnień. A dla bohatera dnia? Coż, mam nadzieję, że Jaryczewski, a może nie tylko on, coś z tego wieczoru zrozumiał. Coś, co czasem zrozumieć bardzo trudno.

WIESŁAW WEISS

★★★★★ na kolana ★★ słaba
★★★★★ dobra ★ beznadziejna
★★★★★ może być

plyty



OB. GC
„Tak tak!”
Polskie Nagrania
★★★★★
★★★★★

Ostatnio w pokoju redakcyjnym NS miała miejsce nader pouczająca wymiana zdań. Otóż red. Soporka rozjuszyła beztroska, z jaką recenzenci płyt rozsypują gwiazdki i wezwał wszystkich na rozprawę przeciwko red. Skaradzińskiemu i jego ostatniej, podejrzanej hojności względem kapeli Deep Purple. W trakcie procesu red. Skaradziński bronił jak lew swoich gwiazdek, przy okazji pytając zaczepnie, dlaczego red. Makowski przypiął tyle samo gwiazdek do kłap ostatniego Dylana, o którym on zamierza głosić, iż jest kłitą (jak na Dylana, oczywiście). Zapytałem retorycznie, po co w ogóle stawiamy stopnie i czy czyniąc to: a) dajemy wyraz swemu subiektywnemu entuzjazmowi, b) zdajemy sobie sprawę z odpowiedzialności względem czytelnika, który oamiony werdyktem może stracić parę tysięcy na ewidentnego knota, a nie kupić na przykład płyty doskonałej. Zapytany o szczegóły wyjaśniłem, że sam w życiu słyszałem tylko dwie lub trzy płyty warte moich pięciu gwiazdek. Bóg mi świadkiem, nie wymieniałem własnych. Red. Makowski, który bardzo lubi jak coś się dzieje, powiedział w tym momencie: *Pięć gwiazdek to ma koniak gruziński* i dodał, że dyskusja jest bezprzedmiotowa, bo dla niego to po prostu zabawa. Wsparł go poniekąd red. Wacławski zdaniem, że w heavy metalu sytuacja jest klarowna i jedne płyty warte są pięciu gwiazdek, a inne nie. Powstał mały chaos i wówczas ktoś dla odprężenia zaproponował, bym zrecenzował do najbliższego numeru płytę Grzegorza Ciechowskiego.

Hm...

Teraz więc ja powiem co mnie w tej dyskusji zafrapowało, gdyż będzie to miało niewątpliwie wpływ na moją opinię o płycie „Tak tak!”. Wyobraziłem sobie Dylana i kolegów z Deep Purple oraz Hendrixa i Tracy Chapman

jak szwendają się gdzieś po Nowym Jorku, lażają i patrzą, myślą i kombinują, zasiadają w jakichś abstrakcyjnych domach i komponują, piszą teksty, wydzwanają do przyjaciół muzyków i dyskutują z nimi o swych pomysłach, zapraszają do prób, nagrań, produkcji pieszczą brzmienia. po sesji wpadają do klubu CBGB na piwo i Jacka Danielsa, a tam na scenie stoi taka kapela Shirts na przykład, której członkowie zostają wkrótce aktorami filmu „Hair” Formana. A potem red. Skaradziński w Warszawie i red. Cedenbał w Ulan Bator zasiadają przed maszyną do pisania i podliczają gwiazdki...

Wyobraziłem też sobie sytuację odwrotną — mianowicie, tu w PRL, artysta Ciechowski całe swoje polskie życie umiejscawia w rowkach trzeszczącej płyty zawiniętej w wiotki, mażący się i rozklejający arkusz papieru, z muzyki tchnie brak wędliny na stole, zapach furmanki na Trasie Łazienkowskiej i ból jednostki, która nie dość, że nie przynależy do wielkiego świata, to nawet tutaj nie przynależy do nikogo i niczego z wyjątkiem tych, którzy zechcą go zrozumieć jako miłośnicy jego sztuki. No i Małgosi i Weroniki.

Płyta Grzegorza, jako polska płyta, ma u mnie pięć murawnych gwiazdek za to, że jest najlepszą polską płytą wielu ostatnich miesięcy. Byłby to jednak dalece niesprawiedliwy dla niego osąd, jeśli mamy ją umieścić w panteonie płyt, które wychodzą bezustannie na całym świecie. Tu ma tych gwiazdek zaledwie trzy i jeśli Artysta niniejszą recenzją w ogóle się przejmie, niech sam oceni czy to dużo, czy mało. Oto powody.

Brzmi rewelacyjnie — w PRL to osiągnięcie wręcz niebywałe. W USA zabrzmiaby zwyczajnie, przeciętnie, ale już nieamatorsko. Byłaby tam przedmiotem skojarzeń z Bryanem Ferry, Depeche Mode (niestety) czy Brianem Adamem. Kompozycyjnie G.C. niewątpliwie się rozwinął choć brak mu tej witalności jaka tchnęła z „Telefonów” czy „Sexy Doll” — jego muzyka zatoczyła niebywałe koło i uwierzcie mi — można w niej znaleźć echa dokonów Yardbirds i Arthura Browna. (patrz: lata 60.). Tekstowo — niestety — może nieco dalej, ale nie inaczej. Trochę rozczarowuje mechaniczność metody haseł — skojarzeń, które stają się kanwą rozważań. Nie zdziwiłbym się, gdyby na kolejnej płycie znalazł się np. utwór „Tłumacz” o tłumaczu języków, który nagle odkrywa, że może zmanipulować światem i zmienić życie najbliższej kobiety

na lepsze. Ta metoda jest zbyt przejrzysta, a nawet zbyt ograna by mogła zabłysnąć wśród pereł Tracy Chapman czy Toma Waitsa. Wspomniana powyżej całość rzutuje na podobieństwo wykonania wokalnych, choć pociesza ponowne rozjaśnienie brzmienia głosu — gorczy jakby mniej, a siły jakby nieco więcej. Wśród sidemenów znajduje brylant największej jakości — Wojciech Karolak, stary dobry Karolak, zagrał na Hammondzie tak, jak czynią to najwięksi na świecie. Takiego czadu i drajwu nie słyszałem od lat, a na polskiej płycie chyba jeszcze nigdy. Reszta, z Jose Torreseem na czele, to dobry międzynarodowy poziom, ale tam byłby on zwyczajnym.

Tak, tak... Moi znajomi Amerykanie po usłyszeniu tej płyty powiedzieli, że cała polska muzyka rockowa nosi na sobie jakieś przytłaczające piętno systemu i nie jest ono zachęcające. Twierdzą, że czuć, iż chcemy się od tego oderwać, być normalni, światowi — niestety, jeśli to piętno odcisnęte jest na sercu, będziemy tylko kolejnym łałem jakich wiele wydobywa się z krajów tego systemu — z Polski, Związku Radzieckiego, Bułgarii, Wietnamu czy Nikaragui.

Zgadza się z tym i stąd pięć naszych, bolesnych gwiazdek i aż trzy w udziale międzyświatowym.

I jeszcze jedno — nie bójcie się tej płyty słuchać głośno. Odzyskacie w ten sposób energię, jaka w niej istnieje i tylko na moment znikła w procesie tłoczenia na starych, pocziwych maszynach zakładu na Płockiej, w Warszawie, Polska.

ZBIGNIEW HOLDYS

PS. A teraz już, po tej zabawie w recenzenta w znanym stylu, prywatnie wyznam, że odczuwam spory niesmak... Doświadczyłem bowiem, jak łatwo można przyczepić się do dzieła niewątpliwie wybitnego i tym samym olać ogrom pracy i talentu autora. Podziwiam wasz twardy charakter, recenzenci.



T. LOVE ALTERNATIVE

„Miejscowi — live”

Klub Płytowy Razem

★★

Prawie każdy z moich ulubionych artystów rockowych sprawił

mi w tym roku jakąś przykrość — a to jakimś dokładnie schrzanionym koncertem, a to fatalnie wymyślonym hitem. We wrześniu padło na T. Love, płyta „Miejscowi-live” jest bowiem jednak wpadką, tym bardziej przykłą, że to wszak pierwszy longplay tej długowiecznej jak na nasze krajowe standardy grupy.

Z czasów szkolnych pamiętam, że gdy na klasówce z polskiego napisało się bardzo inteligentne wypracowanie z dziesięcioma błędami ortograficznymi, można było czasem dostać od litościwej nauczycielki dwa stopnie — piątkę za sens, łufę za ortografię. I taki też jest, jak sądzę, przypadek koncertowej płyty T. Love — płyty zawierającej piosenki dobre bądź znakomite (te ostatnie zapełniają połowę płyty, co jest chyba niezłym wynikiem), za to niezbyt dobrze wykonane i fatalnie produkowane.

Oczywiście, najłatwiej byłoby zwalić wszystko na producenta. Zresztą jest co zwać — nie wdając się w szczegóły wystarczy powiedzieć, że kapela brzmi na tej płycie gorzej niż na amatorskich kasetach koncertowych, krążących wśród fanów T. Love przed laty. Brakowi troski o końcowy efekt dźwiękowy — „sound” jest płaski, jakby jednowymiarowy, nic nie zostaje z atmosfery radosnego grania — towarzyszy też zwykłe niechlujstwo. Oklaski sprawiają wrażenie spreparowanych i dogranych ex post w studiu; pierwsza strona kończy się początkiem jakiejś piosenki, która zostaje wyciszona i już się nie pojawia...

Ala niestety zespół swoją cegiełkę też dołożył. Myślę, że błąd tkwił w samym założeniu płyty: T. Love postanowił zadebiutować repertuarem eksploatowanym przez kilka lat na koncertach. Myślę, że może to być jednym z powodów, dla którego w grze T. Love więcej jest znużenia niż radości. Myślę, że dla tego też Muniak, miast możliwie rzetelnie odśpiewać ów repertuar, usiłuje przełamać monotonię granego po raz setny koncertu, nieustannie „kombinując” wokalnie i melodycznie, w efekcie tworząc coś w rodzaju wariacji na temat swych „greatest hits”. Charakterystyczne, że najlepiej bronią się „Tradycja” i „Kowalski”, a więc kawałki mniej ograne. Natomiast „Wychowanie”, najlepsza moim zdaniem piosenka T. Love, w tej wersji — okastrowanej tekstowo i beznadziejnie wykonanej w ogóle — nie miało prawa znaleźć się na żadnej płycie.

Wydawcy może na tym nie zależeć — twórca musi się wszakże

DOKOŃCZENIE NA STR. 27

...wszystkiemu, co jej przekazywał ów zacny mąż, toteż nigdy nie zboczyła z prostej drogi. Ją to wszelako wybrał sobie Nieprzyjaciół. Wysłał do niej starą kobietę, która zawsze dawała niosących...
Cmów Nierozważnie



ZASADNICZA SZKOŁA GÓRNICZA KOPALNI „W U J E K”

40-594 Katowice, ul. Gallusa 9a,
tel. 513-411, w. 491

ogłasza zapisy

do klas pierwszych
w specjalnościach:

- górnik kopalni węgla kamiennego
- mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego
- elektromonter górnictwa podziemnego
- mechanik maszyn i urządzeń przeróbczych

Warunki przyjęcia:

- nie przekroczony 18 rok życia
- ukończenie szkoły podstawowej
- zaświadczenie lekarskie o stanie zdrowia.

Kopalnia prowadząca szkołę zapewnia — pomoc materialną:

w klasie I	— kierunek elektromonter górnictwa podziemnego	3104 zł
w klasie II	— kierunek elektromonter górnictwa podziemnego	3699 zł
w klasie III	— kierunek mechanik maszyn i urządzeń przeróbczych	4270 zł
w klasie III	— kierunek elektromonter i mechanik górnictwa podziemnego	5676 zł
w klasie I	— kierunek górnik kopalni węgla kamiennego	7761 zł
w klasie II	— kierunek górnik kopalni węgla kamiennego	9240 zł
w klasie III	— kierunek górnik kopalni węgla kamiennego	12 995 zł

Wszyscy uczniowie osiągający pozytywne rezultaty w nauce i zachowaniu mają prawo do premii miesięcznej do 50 proc. stawki jw. Uczniowie zakwaterowani w internacie otrzymują miesięcznie dodatek w gotówce 30 proc. stawki jw. Uczniowie miejscowi otrzymują ekwiwalent pieniężny za 2 tony węgla rocznie.

Szkoła zapewnia:

- zakwaterowanie w internacie dla uczniów zamiejscowych
- codziennie bezpłatny posiłek regeneracyjny dla wszystkich uczniów
- bezpłatne wyposażenie uczniów w komplet podręczników i przyborów szkolnych.

Absolwenci podejmujący bezpośrednio po ukończeniu ZSG pracę w kopalni otrzymują bezzwrotną pożyczkę w wysokości 150 000 zł na zagospodarowanie.

Zgłoszenia kandydatów przyjmuje i informacji udziela
Sekretariat Szkoły, tel. 57-40-85 lub 513-411 wewn. 491.



CANTO

Sp. z o.o.



**ZAKUPI
GOTOWE TAŚMY MATKI
Z ATRAKCYJNĄ MUZYKĄ
do produkcji fonograficznej
(kasety — płyty)**

Oferty (kasety + cena)
prosimy nadsyłać na adres:

CANTO Sp. z o.o.
ul. Błazeja 11
03-610 Warszawa



Dyrekcja Kopalni Węgla Kamiennego „WUJEK”

w Katowicach—Brynowie

**przyjmie każdą ilość
pracowników wykwalifikowanych
i niewykwalifikowanych — mężczyzn
w wieku od 18 do 40 lat
— do pracy w oddziałach wydobywczych**

Kandydatom do pracy gwarantuje się wynagrodzenie według najwyższych stawek zaszerogowania zgodnie ze Zbiorowym Układem Pracy dla Przemysłu Węglowego.

Pracownikom zamieszcowym zapewnia się:

- zakwaterowanie w Domach Górnika
- wyżywienie odpłatne w Domach Górnika

Ponadto pracownicy korzystać mogą z istniejących obiektów sportowych, wycieczek, wczasów oraz wielu innych imprez organizowanych dla załogi kopalni.

Jednocześnie poprzez kursy wewnątrzzakładowe oraz w ośrodkach resortowych, pracownicy mogą podnosić swoje kwalifikacje w celu przyuczenia do zawodów aktualnie potrzebnych w kopalni.

Zgłoszenia kandydatów do pracy przyjmuje Dział Zatrudnienia Kopalni „Wujek” w Katowicach—Brynowie, ul. W. Pola 10 telefon 513-411 wewn. 652, 655.

Nie reflektujemy na pracowników, którzy w poprzednich zakładach porzucili pracę bądź zostali zwolnieni z winy pracownika.

Jednocześnie dyrekcja KWK „Wujek” prowadzi nabór do przyzakładowej Zasadniczej Szkoły Górniczej, której siedziba mieści się w Katowicach—Brynowie, ul. Gallusa 9a.

Dojazd do kopalni od stacji PKP Katowice autobusami WPK linii nr 48, 37, 12, 296, 10, 92.

Mallroy 1988

STUDIO 3 - lampowe wzmacniacze gitarowe, pod względem użytkowym odpowiedniki modelu MARK III firmy MESA/Boogie. Wzmacniacze, które nie mają konkurencji.

TURBO - nowa seria wzmacniaczy mocy (do 2000 watów) o doskonałych parametrach technicznych i użytkowych, reprezentująca najnowsze światowe tendencje w tej dziedzinie (układ NON-NFB I).

SERIES IV - modułowe miksery estradowe (i do domowych studiów nagrań). Wersja podstawowa 16/4/2. Produkowane na bazie najwyższej jakości importowanych podzespołów (Texas Instruments, Singetix).

BASS 120, BASS 200 - nowoczesne wzmacniacze lampowe zaprojektowane specjalnie dla instrumentów basowych.

Udzielamy 2 letniej gwarancji na wszystkie urządzenia.

Od nowego roku zapewniamy serwis na terenie RFN.

Elektroakustyka,
Marian Doliński, Polna 23,
83-110 TCZEW
☎ 44-80

zdjęcie: Studio 3 wer. Combo



ELEKTROAKUSTYCZNA APARATURA ESTRADOWA

- KUPNO-SPRZEDAŻ
- DORADZTWO TECHNICZNE I HANDLOWE
- POŚREDNICTWO
- KOMPLETACJA ZESTAWÓW:

Mikrofony Głośniki Miksery Wzmacniacze mocy
Kolumny głośnikowe Kompletnie zestawy nagłośnieniowe
Sprzęt dyskotekowy Magnetowidy, kamery, zestawy video
Maszyny do wytwarzania dymów.

**PRZEDSIĘBIORSTWO
HANDLOWO-USŁUGOWE
„R O N D O” Sp. z o.o.**

02-563 Warszawa, ul. Wiśniowa 15, tel. 48-03-53
tlx 816792 RONDO PL



TD-288/1/

TD-54544

Domyślamy się, że powrót Patti Smith poruszy całe dziennikarstwo — jej życiorys i odnośne komentarze znajdziecie teraz na łamach wielu gazet. Dlatego pragniemy ofiarować Wam prezent pod choinkę, jakiego nie dostaniecie od nikogo — NS.

patti smith

Ponieważ noc należy do kochanków

John Lennon śpiewał, że „kobieta jest Murzyńskim światem”. Patti Smith jest „Murzyńskim rock’n’rolla”, uosobieniem wszystkich mitów, koncepcji i teorii na temat rocka. W utworze „Babelogue/Rock’n’roll Niger” śpiewała: *Jim Hendrix był Murzyńskim, Jezus Chrystus i Rimbaud również, Jackson Pollock był Murzyńskim, dziecko było czarną owcą, dziecina była dziwką, coraz większą, większą, aż stała się rock’and’rolowym Murzyńskim. Jeżeli spojrzysz — zobaczysz mnie poza społeczeństwem. Nie czekaj na mnie — poza społeczeństwem. Lecz mimo wszystko czekałem, nie będąc chyba jedynym, nie mogąc uwierzyć, że artystka tej miary może opuścić scenę na zawsze. Choć jeden z jej ostatnich koncertów nie utrwalał pozytywnego obrazu. Było to w Berlinie Zachodnim, wiosną roku 1981. Wspólne występy wraz z grupą Television. Pojawił się również Iggy Pop, niezapowiadany, lecz jak zwykle ekscentryczny. Razem z Patti wykonali jakiś kawałek, a potem była już tylko ona Sama. I do końca. Długie rękawiczki zakrywały ślady po nakłuciach. Publiczność dawno opuściła salę klubu. Patti osunęła się z krzesła na podłogę nie przerywając nieskończonej solówki granej na lirycie. Granej dla wszystkich i dla nikogo. Granej nawet wówczas, gdy obsługa techniczna wyłączyła wzmacniacze i światła. Ktoś życzliwie zapakował ją do samochodu i odwiózł do hotelu. Słuchając wydanej wówczas płyty „Wave”/„Fala”, próbowałem pogodzić w myślach mistyczne przesłanie z zatrważającą rzeczywistością. Bo przecież poezja, która moc sprawczą i siłę słowa czerpie z najgłębszych pokładów duszy nie może ot, po prostu ubzdziwienić się. Słowa rozregulują mnie — śpiewała kiedyś. A nazywano ją **punkową księżniczką Nowego Jorku**.*

Patti Smith zaczęła śpiewać za namową swego przyjaciela, **Allena Laniera**. Na początku lat 70. współpracowała z grupą **Blue Oyster Cult**, i właśnie w repertuarze tej grupy znalazł się debiutancki utwór Patti, zatytułowany „Career Of Evil”/„Kariera Zła”. Lecz przedtem już znana była w środowisku nowojorskiej cygarety jako poetka, autorka dwóch książek zawierających wiersze i poematy: „Seventh Heaven”/„Siódme niebo” i „Witt”/„Greps”. Jej poetycki występ w Kościele Świętego Marka w Nowym Jorku stał się wstępem do działalności scenicznej. Podczas debiutanckiego przedstawienia poezji, Patti wtórował, grający na gitarze, poeta i kompozytor, **Lenny Kaye**. Gdy artystom zaproponowano występy w jednym z klubów na Manhattanie — występowali tam z pianistą **Richardem Sohem**. W roku 1975 grupa rozrosła się do pięcioosobowej rockowej kapeli, w której na basie grał **Ivan Kral** (przedtem członek czeskiej formacji **Plastic People**), a za bębnami siedział **Jay Daugherty**. W krótkim czasie stał się formacją wyznaczającą kierunki poszukiwań artystycznych całego nurtu określanego później mianem „New Wave”/„Nowa Fa-

la”. Lecz wtedy to był punk. Ostry, ordynarny, ekspresyjny, ale również poetycki, a czasem i medytacyjny. Płyta „Horses”/„Konie” zawierała nagrania, które na długo wyznaczały konwencję punk-rocka, rock’n’rolla, ska i reggae mieszały się ze sobą, szokując naturalnością i prostotą.

Atmosfera jaka towarzyszyła eksplozji nowej fali, oglądana z perspektywy czasu, przypomina zabawę, nieustający bankiet w małym kręgu dobrych znajomych. W rockowej encyklopedii nazwisko Patti Smith pojawia się w rozdziałach poświęconych wykonawcom takim jak **Blue Oyster Cult**, **Velvet Underground**, **New York Dolls**, **The Ramones**, **The Stranglers**, **Television**. Już samo wymienianie tych nazw bardzo precyzyjnie określa kierunek tego nurtu nowej fali. Mieszczą się w nim również dokonania takich artystów jak **Iggy Pop**, **John Cale** (notabene producent pierwszego albumu Patti Smith) oraz **Bruce Springsteen**, którego utwory umieszczała Patti w swym repertuarze, zwracając tym samym uwagę managerów i producentów na jego osobę. Swoją pierwszą wielką przebojęzała **Bruce Springsteen** właśnie wykonaniu Patti Smith.

Dziś Patti Smith jest nieco spokojniejsza. Jej „Dream Of Life”/„Sen o życiu” ukazuje splątane ścieżki, które prowadzą do małej stabilizacji. (por. recenzję NS-10/88). Jednak nie można być poza społeczeństwem, ponieważ to właśnie „Ludzie mają siłę”/„People Have The Power” — takimi słowami otwiera się album nagrany po siedmiu latach milczenia. *Posłuchaj! Wierz, że nasze sny pomogą nam się zjednoczyć. Możemy obrócić świat, możemy wywołać rewolucję — ponieważ mamy siłę!*

ŚLAWOMIR GOŁASZEWSKI

Patti Smith

POGRAŻAJĄC SIĘ

Słońce wschodzi ponad wodą
światło tańczy znów
Zanurzamy się w promieniach
schodząc ciągle w dół

oto śpimy
oto śnimy
i tańczymy znów
oto niebo się otwiera
strumieniem
ześlizgujemy się

Możemy się przytrzymać
spienionych morskich grzyw
to nas ocali
będziemy na powierzchni
a potem znów
będziemy się zanurzali
Słońce wschodzi ponad wodą
światło tańczy jak płomień
tam gdzie płomień — to pożar
lecz taki rodzaj gry miłosnej
to sen morza
jesteśmy tutaj
towarzyszymy w tym śnie
jesteśmy dzwonami na brzegu
ich dźwięk urwał się

Kto będzie decydował o kształcie rzeczy
kto zdecyduje o bycie
kto zauważy

gdy się pojawi
nowe życie
podzielimy
stając się już innymi
kto zasłużył na dar nad dary
przepłyniemy
ponad i ponad
zgiecie skrzydeł
jest przeznaczeniem wszelkiej zmiany
Słońce wschodzi ponad wodą
światło tańczy tak jak płomień
więc zatańczymy na wodzie
zanurzając się
pogrążając się

To było 22 lutego 1987
było dżdżycie
Andy Warhol odszedł
wszędzie wnikła mgła
przecięliśmy szlak
i gdy doszliśmy do końca ulicy
zobaczyliśmy padający śnieg
przykrywał miasto miękką warstwą bieli
tak białej jak włosy Warhola.

Patti Smith

PRZYWILEJ

Widzę to wszystko przed sobą
dni miłości i męki
noce rock’n’rolla
widzę to wszystko przez sobą
czasem mam pustą duszę
która nie ma woli by ktoś
przesłał mi trochę energii

daj mi trochę
daj mi trochę
daj mi trochę dawania
O, Panie!
daj mi trochę powodu do życia
boli mnie ciało
nie chcę współzucia
chodź, chodź, kochaj mnie
chodź, uczyni mnie wolną
uczyni mnie wolną

Panie, czekam na Ciebie
O Boże, czekam na Ciebie
czekam aż otworzy się 98 twoich ran
więc pozwól mi
pozwól mi na coś, abym żyła
O, Boże, daj mi powód do życia
O, Boże, daj mi coś, nie chcę współzucia
chodź, chodź i kochaj mnie
chodź i uczyni mnie wolną
Oh, jestem tak młoda, cholernie młoda,
uczyni mnie wolną.

Patti Smith

ŚMIERĆ PRZEZ WODĘ

Jakże dawno obiecano to człowiekowi?
nigdy więcej, żadnego więcej.
żadnej śmierci przez wodę
lecz ileż pytań wciąż rośnie jak drożdże
jak doskonały nieboszczyk:

patti smith

czy może czerwone było prawdziwe?
czy człowiek kieruje rzeką?
czy ona/on utonął/ał?
czy z naturalnych przyczyn?
czy ze smutku?

Ileż leż na twojej poduszce.
krokodylich czy prawdziwych. potok wody.
brian jones utonął. nieśmiało. w dziecięcym
basenie. w fontannie młodości.
Jim Morrison. nasz skórzany baranek. bał się
tej łazienki. ostrzegał nas. hiacyntowy dom
skąd on wiedział. skąd Chrystus wiedział. za-
dnych
wątpliwości. człowiek napiętnowany zawsze
dowiaduje się najpierw. umarł pod przyszcim.
zwalil
się jak Marat. jedynym tropem był ten czerwony
pryszczek nad sercem.
ktoś wspominał o jakichś ostatnich słowach.
woda
łała mu się z oczu. był naprawdę niepokalany
choć zdziwiony. na zewnątrz lało. burzowe
chmury. wzburzone wody. z wanny się przele-
wało.
spojrzał w górę i krzyknął:
„przecież obiecałeś”

przeł. P.B.

Powiem szczerze: to jest dobra poezja.
Ale nie sądzę, żeby to była bardzo
dobra poezja. Patti Smith ma swój włas-
ny ton poetycki, ale nie jest to ton bardzo ory-
ginalny. Jak mówią, spory wpływ na ukształto-
wanie się osobowości artystycznej Patti wy-
warł niegdyś Leonard Cohen. Cohen, zanim je-
szcze zaczął śpiewać, wydał kilka ważnych
książek, wśród których był tom wierszy „Let
Us Compare Mythologies”, czyli „Porównujmy
mitologie”. Wspominam o tym dlatego, że Patti
Smith w jakimś sensie dokładnie to właśnie ro-
bi w swoich wierszach — porównuje mitologie.
Mitologie religijne, historyczno-kulturowe, pop-
i kontr-kulturowe. Któż się nie pojawia w tych
wierszach? Chrystus obok Briana Jonesa, Jima
Morrisona czy Boba Dylana, Maria Magdalena
i Joanna d'Arc obok dwóch „femmes fatales” z
kręgu Rolling Stonesów — Marianny Faithfull i
Anity Pallenberg. Trybun rewolucji francuskiej
Marat obok autora niezwykle popularnych kry-
minałów — Micka Spillane'a. Przebywanie
wraz z tymi wszystkimi ludźmi (tak jak wyobra-
ża ich sobie Patti) jest ciekawe, ale efekt jest
trochę zbyt dokładnie taki, jakiego można by
się spodziewać: bogowie okazują się podobni
do ludzi, zaś ludzie przypominają bogów.

Joanna d'Arc przed wejściem na stos gwałtownie zaczyna oplakiwać swoje nieutracone dzie-
wictwo, za to Jim Morrison jawi się jako ktoś
w rodzaju Odkupiciela, a Marianne Faithfull
uosabia osobiłą trójcę — Jezus, Judasz, Ma-
ria Magdalena. Inteligentnie to zrobione, ale
dosyć banalne. Patti Smith uwielbia gry słowe-
ne, gry nieprzetłumaczalne. Niektóre z nich są
rzeczywiście błyskotliwe i funkcjonalne, np.
zwrot „Female — feel male”. Niestety muszę
tu jak w szkole wyjaśnić, że „female” i „feel
male” wymawia się niemal identycznie, za to
sens tych dwóch wyrażen jest niemal dokład-
nie odwrotny, w efekcie czego cała zacytowa-
na fraza znaczy z grubsza „kobieta — czująca
się mężczyzną”. Ale inne tego typu zabawy są
po prostu zabawami Patti, odkrywającej urok
niespodziewanych wieloznaczności; trzeba do-
dać zresztą, że dla kogokolwiek, kto zna choć-
by polską poezję lingwistyczną — Białoszew-
skiego, Karpowicza, Barańczaka — odkrycia
Patti Smith pozostają na etapie inteligentnego,
ale jednak dziecka.

Co chcę przez to wszystko powiedzieć? Let
us compare mythologies, but let us not create
mythologies, nie twórzmy nowych mitologii.
Patti Smith jest naprawdę wspaniałą piosen-
karką i autorką piosenek, jest, wyznam, jedną
z tych artystek, które w latach siedemdziesią-
tych podtrzymały we mnie raptownie gasnącą
chęć słuchania tej muzyki. A oprócz tego pisze
wiersze. Wiersze niezłe. Ale podobne (co do
formy i jakości) wiersze pisze — tylko w kręgu
języka angielskiego — z górą setka innych
nieznanych poetów. Tyle.

PIOTR BRATKOWSKI

słuchając „land”

Zaczyna swą opowieść półgłosem, bardzo
cicho, nie zdradzając emocji. Mówi o Johnnym
— jednym z nas. Wpatrzona w lustrzane odbi-
cie swej twarzy. Uwieczona w długim korytar-
zu. W przejściu skądś dokądś (ze świata ży-
wych do świata umarłych?). Zaczyna cicho, tak
cicho, że nie można zrozumieć jej słów. Chłod-
ny, metaliczny głos przybiera jednak na sile.
Odwagi dodaje mu głos drugi, dochodzący z
oddali. Inny a jakby ten sam. Patti Smith, tak
jak Johnny, stoi przed lustrem. Nie mówi już.
Skanduje, śpiewa, krzyczy. Johnny nie jest
sam. Obok niego pojawia się inna postać. Ob-

cy? Raczej alter ego, drugi Johnny, ten z lus-
tra. Przyjaciół? Raczej oprawca, wróg. Johnny
boi się. Osaczony, zaszczyty, z obłędem w
oczach wali głową w drzwi stojącej w korytar-
zu szafy. Szafy? A zewsząd — tak mu się
przynajmniej wydaje — nadbiegają konie. Zna-
rowione, o rozwartych pyskach i rozpalonych
chrapach. Białe, lśniące od potu ogiery. Konie,
konie, konie. Mnóstwo galopujących koni...

Tak zaczyna się utwór „Land” z płyty „Hors-
es”. Nie on otwiera album. A szkoda. Lepiej
niż pozostałe wprowadza przecież w klimat
obrazoburczej twórczości Patti Smith. Dramato-
pisarki, poetki, autorki i wykonawczynie pio-
senek. Jest w „Land” wizjonerstwo Rimbauda,
jest zuchwałość Burroughsa. Jest histeria Mor-
risona i wściekłość Hendrixa. Można ten utwór
czytać jak zapis narkotycznych halucynacji.
Można w nim widzieć erotyczną fantasmago-
rię. Ale też świadectwo rozmyślań o sensie i
bezsensie życia, o śmierci. O Bogu. Jest w
„Land” bolesna prawda o duszy ludzkiej. Jest
też cała Patti Smith. (ww)

NON mono STOP

Niektórym się wydaje, że
rock'n'roll to jakieś szaleństwo nie
służące niczemu innemu ponad
mieszanie w głowach. Usiłują nam
wmowić, że przyszliśmy nie wiado-
mo skąd i tworzymy nie wiadomo
po co. I przeważnie mają rację, bo
komu by tam się chciało uzasadniać
własne istnienie. Przecież to, że je-
stem — mimo ich sprzeciwów i naj-
szerszych chęci — jest po prostu
oczywiste. Rock'n'roll to również ta-
ka oczywistość i albo ją pojmujesz,
albo nie. Wszystko zależy tylko od
tego czy masz szansę i kto ci ją da-
je.

Czy rock w Polsce miał kiedykol-
wiek jakąkolwiek szansę? Na to py-
tanie spróbujemy odpowiedzieć słu-
chając nagrań z kręgu awangardy
polskiego rocka podczas grudnio-
wych spotkań w „Domowym Archi-
wum” — Rozgłośnia Harcerska, pr.
IV, wtorek ok. godz. 15.30.

ELEKTRONICZNE INSTRUMENTY MUZYCZNE

najtaniej w dewizowej sprzedaży
wysyłkowej oferuje z dostawą do domu
w ciągu 14 dni

Firma **BOBOWSKI JANUSZ**
Heilmannring 62 A
1000 BERLIN (West) 13.

CASIO
YAMAHA

BONTEMPI



model
PSS-30

99.-DM

TD-474/1/

DOKOŃCZENIE ZE STR. 19

szanować. Czekam zatem na nagraną już, podobno świetną, studyjną płytę T. Love.

PIOTR BRATKOWSKI



METALLICA

„... And Justice For All”

Phonogram / Vertigo

★★★★★



SLAYER

„South Of Heaven”

London / Def Jam

★★★★1/2



ANTHRAX

„State Of Euphoria”

Island

★★★★★

Blisko dwa i pół roku przyszło czekać na sukcesora płyty „Master Of Puppets”, albumu, który niewątpliwie należy dziś do klasyki muzyki rockowej. Komercyjną lukę wypełniły „garażowa” epka i pierwsze oficjalne video zespołu. Tymczasem grupa zwróciła się z realizacją materiału na nowy

longplay. Pojawiły się straszliwe plotki zarzucające muzykom twórcy impas, a nawet — wykorzystywanie jako własnych, kompozycji Dave’a Mustaine’a (np. „Lepser Messiah”). Potem zaczęły się perturbacje związane z wyborem studia i producenta, jednak szczęśliwie zakończone kontraktem z Flemingiem Rasmussenem. Wszystko to doprowadziło do wrzenia kocioł zaciekania, stając się wspólną reklamą.

Dziewięć utworów wytłoczonych na dwóch krążkach, 65 minut. Latwo opisywać treść płyty, na której przy każdym „odsluchu” odkrywa się tysiąc i jedną rewelację. Ten album to wyzwanie, walka i gorzkie łyż zwycięstwa. Twarde, przejmujące dźwięki gitar, niewiarygodnie nagrane partie perkusji, „sfuzowany” wokół od pierwszej sekundy projekcji rozkładają na łopatki. Pieśni — elaboraty (najkrótsza 5:12) przytłaczają swym brzmieniowym i tekstowym pesymizmem, zadziwiają nowatorskimi aranżacjami, zaskakują tak charakterystycznymi (a przecież nieodgadnionymi) dla zespołu zmianami rytmu, tempa i motywów.

Warto zaobserwować niewiarygodny rozwój niepowtarzalnego stylu Metallica. Jeśli album „Ride The Lightning” był wspaniałą, ale tylko przygrywką do „Master of Puppets”, to „... And Justice For All” jest przepyszną symfonią w porównaniu ze swym poprzednikiem. Dosłownie każdy utwór z tej płyty zasługuje na miano klasycznego, a dzieło tytułowe oraz „One” to misteria na d/ miarę „Stairway To Heaven”. Wystarczy?

— Ty, no nie przeginaj, ciekawe jakie cymbalista napiszesz w związku z tym Slayerem?

— Świetnie, że cię to ciekawi. „South Of Heaven” to doskonały album rock and rollowy.

— Rock and rollowy?!

— Zdecydowanie tak. Oczywiście może być — metalowy albo thrashowy.

— A co ten łomot ma wspólnego z rock and rollem?

— Ano to, że nie znoszą go stare przyki i wysokie czoła, to, że jednoczy dzieciaki, ma niezrównany czar, daje kupę radości i bywa sztuką, która w herbie ma elektryczną gitarę.

— I ta miódka, ten Slayer to sztuka?!

— Powoli, najpierw okładka. Tyl.

— O rany, ale mordy!

— Proszę, już działa. Fantastyczne zdjęcie. Oni wypracowali sobie dość kontrowersyjny image, który ta fotka świetnie odzwierciedla. Cztery ponure, nieprzyjemne, wręcz wrogie, pogardliwe

spojrzenia. I podpisy, same nazwiska, bez imion chrzestnych. Teraz front. Na przełomie XV i XVI w. malował przerażająco — piękne obrazy geniusz o pseudonimie Hieronymus Bosch, musiał chyba zmartwychwstać i podpisać ze Slayerem umowę na projekt okładki. Pieniądze czynią cuda. Kolej na wkładkę. Masz tu zestaw przynębiających metalowych poematów, obsesyjne opisy wszelkich rodzajów gówna, które oblepia ludzkie bydlę. To bardzo mocne, programowo obraźliwe teksty, które na pewno wywołają wiele kontrowersji i nieporozumień. Zwróć uwagę, że brakuje tu charakterystycznego dla metalowych wkładek elementu, mianowicie listy z podziękowaniami. No i muzyka. Cięższa niż metr sześcienny ołowiu, z mnóstwem przesterowań i zniekształceń. Paradoksalnie odpychająca i przyciągająca. Chora i mroczna, a równocześnie wykonana błyskotliwie, zwłaszcza w partiach gitar. Niełatwa w odbiorze, nie dlatego, że głośna, niemelodyjna i brutalna.

— Eee, gadanie, dorabianie filozofii do łomotu czterech półgłówek.

— Nie, kolego cienki, tu nie ma żadnej przekłamanej filozofii. Jest rock and roll, który powstał gdzieś na południe od niebios.

Metallica i Slayer oferują muzykę wielce poważną i zaangażowaną. Inaczej natomiast ma się sprawa z grupą Anthrax, która za swe credo przyjęła najpopularniejszy rock and rollowy slogan — „Dobrej zabawy!”. I niezaprzeczalnie, album „State Of Euphoria” jest zabawą pyszną. Jeśli muzykę można by zobaczyć, to dźwiękowe dzieło Anthraxa wyglądałoby tak samo jak lider tego nowojorskiego kwintetu Scott Ian — kolorowo ubrany kurdupelek o przesympatycznej fizjonomii, pożytkujący niewyczerpane zasoby swej energii na ujeżdżanie skateboardów.

Sekcja rytmiczna bez pardonu narzuca zawrotne tempo, gitarzyści zwiłają się jak w ukropie, a wokalista robi wszystko, aby przekonać rozbawioną publikę, że umie więcej niż konkurencja — od typowo hard rockowego śpiewania przez manierę rap aż po krzyk pospolity. Anthrax to czad upojny, brawurowy, niemalże beztroski i nieprawdopodobny. Niczym podróż Nowy Jork — San Francisco odbyta na rasowym Harleyu w czasie trzech godzin i piętnastu minut. Czy może być coś bardziej ekscytującego? Niech żyje Ameryka!

KRZYSZTOF WACLAWIAK

PS. Thanks to Lee Kavanagh at Phonogram, Eugene Menzi at London Records and the black beauty at Island.



RUN DMC

„Tougher Than Leather”

London

★★★★★

Od 1988 roku NARAS postanowiła przyznawać Grammy. Awards nowej kategorii sztuki nagrania, za którą uznano rap. Być może pierwszym laureatem tej najbardziej cenionej w showbiz nagrody będzie murzyńskie trio Run DMC, bowiem już od paru lat jest ono w tej dziedzinie niekwestionowanym mistrzem świata.

Choć najnowsza płyta zespołu jest nieco mniej interesująca od poprzednich, wśród których na szczególną uwagę zasługuje LP „Raising Hell”, to mimo wszystko należy ją uznać za udaną, przede wszystkim dzięki takim kompozycjom, jak „Mary Mary”, „Miss Elaine”, „Soul To Rock And Roll” i „Ragtime”. Utwory te dowodzą, że rap to niesłychana siła, dynamika, witalność, a przy tym doskonała zabawa i sporo poczucia humoru. Najlepiej docenić to ci, dla których rytm, funkowy timing i murzyński feeling liczą się najbardziej. Rap to również — przy nowoczesnej technice produkcji — konwencja inspirowana tradycyjną muzyką afrykańską. Jej najsłabszym punktem bywa monotonia, która niestety pojawia się w paru miejscach na „Tougher Than Leather”. Jednakże wyśmienity warsztat wykonawczy i doskonała realizacja nagrań sprawiają, że nie bardzo chce się o niej myśleć, a na dodatek za chwilę zagrają „Miss Elaine”.

WOJCIECH SÓPOREK

JUDAS PRIEST

„Ram It Down”

CBS

★★★★1/3

Przyznam, że z poważnymi obawami zasiadałem do wysłuchania najnowszej płyty mojego ulubionego zespołu. Wstrząsała mną myśl, iż pewnie znów z głosników popłynie muzyka co prawda znakomita warsztatowo, ale — jak to było w wypadku „Turbo” — przesycona brzmiały niezbyt metalowo syntezatorami gitarowymi.

...nikt nie uweselił tak nadobnego ciążeczka! — rzekła starucha do panny. — Ach! gdybyś, panno, wiedziała, jaką uciechę mamy w kompanii miłośników naszych! I o suchym chlebie



Lecz już rozpoczynając „Ram It Down” utwór tytułowy rozwiał mój niepokój — Judas Priest każdy zakątek pokoju wypełnił soczystym i dynamicznym heavy metalem w znakomitym wydaniu. To, co następuje później, sprawia, że serce każdego fana skacze z radości i podniecenia. Owszem, jest kilka sekund strachu przy elektronicznych „Blood Red Skies”, ale w sumie mamy prawdziwy heavy-metalowy teatr, który sięga zenitu w „Johnny B. Goode”. Dzieło wieńczy monstrualne „Monsters Of Rock”, opiewające rockowy koncert corocznie eksplodujący w Donington pod Londynem.

Ogólnie styl płyty przypomina doskonałą „Defenders Of The Faith”, przedłużając pomysły czasy brytyjskiego kwintetu. Najnowszy album Judas Priest sprawia, że słuchacz wraca do niego ponownie, i ponownie, i ponownie...

ROBERT PREJS



KINGDOM COME

„Kingdom Come”

Polydor

★ ★ ★ 1/3

Spośród wielu kopii Led Zeppelin ta jest najbliższa oryginału — w końcu sporo racji znajduje się w tezie, że Kingdom Come ma się do Zeppelinów tak, jak The Inmates do The Rolling Stones. Główny twórca repertuaru Lenny Wolf (to właśnie „sobowtór” Planeta) i jego czterech kolegów swoją (?) muzykę budują tak, by do złudzenia (ale bez prawdziwego ducha!) przypominała kapelę Page’a i to w różnych odcieniach — „rockowym” (np. „The Shuffle”,

„17”), akustycznym („Loving You”) i z „Kashmiru” („Get It On”), choć mogą się również kojarzyć z balladowym nalożeniem Scorpions na LZ („What Love Can Be”) i wczesnym solowym Plantem (np. „Hideaway”). Grupa dokłada starań, by zmieścić się w popowym przedziale metalu (np. „Now Forever After”, „Living Out Of Touch”), i udaje jej się to. Kingdom Come gra porządnie, ma fajnie pomysły i działa z wdziękiem (poza dialogiem z „Kashmirem”), w związku z tym jego pierwszej płycie słucha się z olbrzymim zainteresowaniem aczkolwiek jest to zainteresowanie bardziej „ciekawostką przyrodniczą”, niż zespołem, który ma coś ważnego do powiedzenia.

Kingdom Come płynie na samym grzbiecie fali z modą na LZ, co wystarczyło, by kwintet zdobył dużą popularność. Ciekawe jednak co dalej — w górę czy w dół, dalsza imitacja czy zaprzestanie ssania cyfusia w postaci zapropinowania produkcji oryginalniejszej? Ja myślę, że raczej w dół.

JAN SKARADZIŃSKI

★ Jak gra i jak brzmi Kingdom Come? Jak Led Zeppelin! Czymże zatem jest zespół, który nie potrafi stworzyć niczego poza zestawem w miarę sprawnie wykonanych plagiatów? KC znaczną część swych „kryminalnych” dochodów musi przeznaczać na opłacenie adwokatów, resztę może przeżyć.

KW



DEEP PURPLE

„Nobody’s Perfect”

Polydor

★ ★ ★ ★ 1/2

1. Pamiętam ogromną ulgę, gdy okazało się, że po reaktywaniu grupa Deep Purple nie gra metalu, tylko nadal pocziwie „hardrockysko”. Pamiętam ogromną ulgę, gdy okazało się, że po reaktywaniu grupa Deep Purple nadal nagrywa perły (album „Perfect Strangers”).

2. „Nobody’s Perfect” zawiera w większości znakomite wersje Wielkich Klasyków brytyjskiego kwintetu nagrane w USA, Norwegii i we Włoszech. Całość uzupeł-

nia „Hush” (z harmonijką!) zarejestrowane podczas „live jam” w studiu. Purple są brzmieniowo i kształtem blisko studyjnych pierwowzorów — właściwie zmieniają tylko szczegóły (np. „Black Night”), choć całość ubarwiają bardzo atrakcyjnymi wstawkami. W „Strange Kind Of Woman” wpleciono przewodni temat z „Jesus Christ Superstar” (którym Blackmore i Gillan jakby wykpił się z „tradycyjnego” wielkiego pojedynku), a tylko poprawne „Woman From Tokyo” znajduje ujęcie w „Everyday” Petty’ego i Hardina.

Najwspanialsze momenty na „NP” to fantastyczne wersje „Highway Star” i — Dzieła nad Dzielami — „Child In Time”. Pozostałe Klasyki trzymają poziom, choć szkoda, że w „Smoke On The Water” zabrakło finałowego pojedynku Lord-Blackmore; choć wielka szkoda, że „Lazy” w sumie bliższe jest wersji z „Machine Head” niż z „Made In Japan”.

Artyści są w wysokiej formie. Gillan nie stracił siły głosu (choć znakomita wokaliza w „Child In Time” jest jakby trochę sztuczna, za mało zrośnięta z przestaniem i instrumentami), Blackmore nadal zadziwia wigorem i stylem (choć kiedyś zdarzało się, że grywał żdźbko przeżywczej). Jeśli ktoś obniżył loty, to chyba Paice — cóż, lata mało finezyjnego bębienia w Whitesnake mogły nie pozostać bez wpływu (np. razi mnie akompaniament w „Everyday”).

3. Z nowych utworów brytyjski kwintet zdecydował się wprowadzić tylko trzy „kawalki” (na podwójnym albumie analogowym jest jeszcze „Bad Attitude”). Fantastyczne „Perfect Strangers” i „Knocking At Your Back Door” okraszane są przekonującą grą Lorda — solówką „dodatkową” w pierwszym wypadku i potężną introdukcją („Dla Elizy” plus ragtime) w wypadku drugim. Szkoda, że te dzieła wspiera tylko „bezpomysłowe” „Hard Lovin’ Woman”.

Brytyjczycy powinni bardziej podkreślić fakt, iż ich kolejna płyta koncertowa pochodzi z drugiej połowy lat osiemdziesiątych. Przecież wybór mają nie byle jaki — „A Gipsy’s Kiss”, „Call Of The Wild”, „Wasted Sunsets”, „The Spanish Archer” czy „Strange Ways”...

4. Ostatni album Deep Purple tudzież jego tytuł dowodzą, że Lord i jego koledzy to nie tylko doskonali, ale i skromni muzycy.

JAN SKARADZIŃSKI

★ ★

1. Deep Purple A.D. 1988 to nieudana kopia zespołu, który w tym samym składzie kilkanaście

lat temu wytyczał nowe drogi w rozwoju rocka.

2. Utwory z „NP” w oryginalach brzmią sto razy prawdziwiej.

3. Deep Purple wciąż robią kasę, lecz tego rodzaju działalność ze sztuką niewiele ma wspólnego.

WOJCIECH SOPOREK



GUNS' N'ROSES

„Appetite For Destruction”

Geffen Records

★ ★ ★ ★

Niewiele wydaje się na świecie płyt, które zdolne są oczarować już od pierwszego słuchania, a tak jest w wypadku powyższego albumu.

Silną napędową Guns' N'Roses są gitarzyści Slash i Izzy Stradlin — zawodnicy, których nie powstydziliby się żaden najznakomitszy zespół. Ich gra wspomagana przez wokalistę W. Axl Rose dysponującego dość wysokim głosem (z lekką chrypką) o wybitnie metalowym zabarwieniu, sprawia, że dostajemy ok. 50 minut (12 utworów) wspaniałego, dynamicznego rocka. Klimat „Appetite For Destruction” zbliżony jest do twórczości Budgie, Nazareth i AC/DC. Guns' N'Roses proponują przyzwolty, zagrany z dużą ikrą amerykański hard rock (dość archaiczny dziś termin), który znajduje się dosłownie o centymetr od heavy metalu (np. „Your Crazy”, „Nightrain”).

Płyta rozpoczyna się nagraniem „Welcome To The Jungle”, w którym Rose daje (podobnie jak w „My Michelle” na drugiej stronie) próbkę krótkiej wokalizy à la R. Plant. Dość smętny w swoim początku „Paradise City” kończy się ponad dwuminutową ucztą — gitarzyści na bazie kilkanaście razy powtarzanego refrenu dają prawdziwy popis swych umiejętności. Praktycznie w każdym kawalku (np. „Nightrain”, „Think About You”, „Out Ta Get Me” czy „Mr. Brownstone”) poznajemy ich kunszt i niesamowity profesjonalizm. Na uwagę zasługuje też quasi ballada „Sweet Child O'Mine”, w której Slash udowodnia po raz kolejny, że jest

bardzo sprawnym warsztatowo gitarzystą.

Nie wiadomo, czy Guns' N' Roses zaferuje nam w przyszłości coś równie interesującego (jest to w sumie młody zespół), na razie jednak polecam tę płytę każdemu miłośnikowi rocka.

CEZARY SZCZEPAŃSKI



STATUS QUO

„Ain't Complaining”

Phonogram

★ ★ ★ ★ 1/3

Zawsze dziwiłem się starym ludziom, którzy jeszcze mogą... tworzyć. Lecz po płycie grupy Status Quo nic mnie już nie zdziwi. Każdy z muzyków owej popularnej kapeli mógłby być... no, przynajmniej moim wujkiem. A jednak jeszcze wchodzą do studia o własnych siłach i nagrywają. I to jak!

Jeżeli z jedenastu numerów na płycie „Bez narzekań” tylko dwa budzą moje zastrzeżenia, to chyba do narzekań rzeczywiście nie ma powodu.

Nie toleruję tradycyjnej muzyki rozrywkowej i dlatego uznałem, że np. najnowszego albumu grupy Chicago („19”) recenzować nie warto. Ale Status Quo ten rodzaj muzyki rozwinęło, wzbogaciło o najświeższe dokonania brzmieniowe, poddało swoje aranżacje wpływom aktualnej mody. Chwała. Ale może od początku.

„Ain't Complaining” — melodia muzyczna mająca wiele wspólnego z hard rockiem, ale nie brak w niej i rapujących samplerów i czadzącej perkusji. Do tego zagrana z takim połosem, jakby muzycy weszli do studia i zagrali to, co przyniosł im ostatniej nocy sen. Nie specjalnie wydumana, ale żywa i rajująca. „Everytime I Think Of You” — brzmienie w muzyce rozrywkowej, tego wielu artystom brakuje. A im nie, choć zdarzają się wpadki w rodzaju chórków à la Papa Dance. „One For The Money” — jakby Murzyni na bębenkach, funkujące klawiszowe, żywy, rapowy głos. Może trochę traci Talking Heads. To dobrze. W piątym numerze, „Don't Mind If I Do” Status Quo zachowuje się jak marko-

wy zespół heavy. Gitarowe zejścia, solówki, znakomity, silny wokół. To bardzo radosna płyta, chyba dobrze dzieje się w tym zespole. Ostatnia kompozycja z pierwszej strony, „I Know You're Leaving”, to wolna i smutna ballada, ale jest to przecież piosenka o rozstaniu.

Druga strona rozpoczyna się jak „Running All Over The World” — ostatni hit grupy, związany z akcją Sport Aid. Ale ta kompozycja nosi tytuł „Cross That Bridge”, jest żywa i wesoła. Status Quo potrafi zagrać rock'n'rolowego speeda („Cream Of The Crop”). W „The Loving Game” jest ostry rytm i ładna melodia. Heavy. Śpiewają szatani. I na koniec znów ciepłutka muzyczka. „Magic”. Zresztą co ja będę państwu opowiadał. Status Quo jest w doskonałej formie, czego i Wam życzę.

ADAM GRZEGORCZYK



JIMMY PAGE

„Outrider”

Geffen Records

★ 2/3

Niestety, obecna twórczość niedzisiejszego idola milionów młodych ludzi przypomina żałosne resztki magnackiej fortuny. Nie wiem — może jest on już za stary na rocka, może powinien wygodnie usiąść w fotelu, włączyć telewizor i żyć spokojnie z bankowych procentów...

Muszę przyznać, że — mimo całego sentymentu dla artysty — czuję się podłamany. Wydałem pieniądze na longplay, a nie dostałem nawet porządnej „czwórki”. Page jawi się jako typowy smutas próbujący kopiować zeppelinowskie utwory.

Strona pierwsza jest nieco ciekawsza. Na uwagę zasługuje „The Only One” choćby dlatego, że słychać w nim głos Roberta Planta. „Wanna Make Love” i „Wasting My Time” to twórczość średniego kalibru, jednak po pewnych poprawkach mogłaby się znaleźć np. na „In Through The Out Door” LZ. O instrumentalnych „Writers Of Winter” i „Liquid Mercury” można napisać wyłącznie tyle, że znajdują się na pły-

cie. Szczególnie drugi z wymienionych numerów to katastrofa — Page ograniczył się do wymyślenia typowego gitarowego pochodu, do którego „zapomniał” dograć partii wokalne.

Trudno pisać również o drugiej stronie albumu (z pewną ulgą dla „Prison Blues”), bo trzeba by używać słów, których nie ma w żadnym słowniku. Dlatego wspomnę tylko, że obok Page'a sprawcami „Outrider” są m.in. perkusiści Jason Bonham (Bonzo junior) i Barrymore Barlow oraz wokaliści Chris Farlowe i John Miles, nie mówiąc już o wcześniej wymienionym Plancie.

I jeszcze jedno — nadal bardzo lubię LZ.

CEZARY SZCZEPAŃSKI



HUEY LEWIS AND THE NEWS

„Small World”

Chrysalis

★ 1/2

Niezbyt często korzystam z usług ulicznych budek z zapiekaniami, a do pasji doprowadzają mnie te „przysmaki”, gdy pochodzą sprzed kilku dni. Suchy, śmierdzący ser i raz na siedem centymetrów kawalunek pieczarki (?)

A ostrzegali mnie. Stało napisane: *Jeszcze kilka takich albumów i kup sobie koszulkę z napisem Napalm Death!* I nie wierzyłem. Aż położyłem to-to na talerz (gramofonu) i zacząłem się upajać. Przypuszczam, że proces ten był podobny do upajania się (upijania się?) denaturem albo innym napalmem. Po dwóch pierwszych numerach dostałem konwulsji (zamiast świeżego sera pojawiły się kielbasiane organy i archaiczny głos Huey Lewisa). Jedynie dwa numery wstrzymały wymioty: „Perfect World” — z rodzaju przebojów (to duże słowo) i orkiestrowe reggae „Bobo Tempo”. Później do końca była już tylko tłusta kielbasa, ewentualnie czasami zielone pulpety spługawionego reggae. Odniosłem wrażenie, że The News nagraliby również nową, „kaszankową” wersję „Summertime”, o ile byłoby zapotrzebowanie. Gdy myślę o

tej płycie, do dziś puchnie mi w tórba.

ADAM GRZEGORCZYK

(Mogę się na ten LP zamienić. W zamian daję laxigen — WS.)



SALT-N-PEPA

„A Salt With A Deadly Pepa”

London

★ ★

O czym można marzyć, będąc uczennicą w szkole dla pielęgnarek? Oczywiście, o karierze rockowej gwiazdy. Najstraszniej, gdy te ponure wizje się spełnią.

Student inżynierii dźwięku, Herby Azor, zaproponował dwóm swoim przyjaciółkom nagranie piosenki w stylu rap. Dla wyjaśnienia dodam, że w tym stylu chodzi raczej o rytmiczną recytację, niż śpiew i melodię. Nagrany utwór firmował właśnie zespół Salt-N-Pepa.

Po ogromnej kampanii reklamowej ukazuje się płyta. Obok dziesięciu nijakich numerów są na niej dwie fajne piosenki. Singlowy przeboj „Push It” — nareszcie żywa, dobrze brzmiąca, elektroniczna kompozycja, i znany skądinąd „Twist And Shout” (choć jest to najcieńsze wykonanie tego hitu, jakie słyszałem, paniaki po prostu nie śpiewają).

Muszę się przyznać, że po radiowej premierze „Push It” byłem zafascynowany grupą. Ale ta płyta mnie zupełnie rozczarowała. I jak tu wierzyć amatorom?

ADAM GRZEGORCZYK

★ ★ ★

Jurkowi i Andrzejowi, właścicielom sklepu płytowego „Combo” (W-wa, Słupecka 8), dziękuję za pomoc w uzyskaniu kilku płyt do recenzowania.

NS



Szanowne Grono Redakcyjne,
Z reguły nie pisuję do naszej prasy żadnych listów, bo wiem, że głuchym i ślepych moje słowa uszu i oczu nie otworzą. Was jednak za takowych nie uważam i dlatego postanowiłem napisać za niepokojony (a może raczej zaintrygowany) jednostronicowym epitafrum dla Jarocina, które ukazało się we wrześniowym NS.

Trochę zdziwiło mnie takie potraktowanie sprawy. Tego, co stało się w Jarocinie, tego, co stało się z naszą muzyką w ogóle, nie można skwitować krótkim, humorystycznym tekstem. Jego autorzy dają do zrozumienia, że festiwal należy przenieść do innego miasta. Pytam więc: czy to coś zmieni? Czy w ten sposób znikną animozje, czy to uzdrowi naszą muzykę? Jest to typowy przykład myślenia magicznego, niestety rozpowszechnionego u nas.

Jestem mieszkańcem Jarocina, lecz nie chciałbym, aby moje poglądy były traktowane jako wynik lokalnego patriotyzmu. Chodzi mi bowiem tylko o muzykę. Na marginesie dodam wszakże, iż jak zauważył Walter Chelstowski w jednym z wrześniowych numerów „Na przelaj”, w Jarocinie jest jednak jakaś niepowtarzalna atmosfera, która stale towarzyszy festiwalowi...

... To nie imprezy są chore (choć oczywiście organizacja festiwalu pozostawia wiele do życzenia), ale nasza muzyka znalazła się w ślepych zaułku. Dopóki z ariergardy goniliśmy świat, wszystko było OK, widziało się postępy. Ale w końcu utkneliśmy w martwym punkcie, z którego jak na razie nie widać wyjścia, a światowa czołówka (oczywiście nie ta popowa, np. 4AD) stale nam ucieka. Osobną sprawą jest dobór zespołów na Festiwal Muzyków Rockowych w Jarocinie. Mimo zastój jest kilka młodych, ciekawych grup. Dlaczego na jarocińskiej scenie nie było np. Variete, Wańki Wstańki, Dezertera czy Róż Europy?

Same oskarżenia zdadzą się na nic. Grzebanie przeglądów mu-

zycznych oraz rocka jest zajęciem trochę nudnawym po tylu pogrzebach sztuki, których tyle mieliśmy w przeszłości. Oprócz negacji potrzeba trochę elementów budujących...

Pozdrawiam Was serdecznie,
Jerzy Kaczmarek
Jarocin

Kochani,
Wzięło mnie na ostre rzyganie po nekrologu „na cześć” Festiwalu Jarocin 88... Pa!

Krzysztof Janczewski
Olkusz

PS. Z głębokim żalem zawiadamiam, że w uroczystościach pogrzebowych nie brałem udziału.

Nic nie szkodzi. Żalobnicy domagają się ich powtórzenia w przyszłym roku. Mają być rozdawane gromnice i awiomarin... na koszt nieboszczyka. Pa!

Cześć,
Przed momentem przeczytałem ostatni numer NS (wrześniowy) i wreszcie zdecydowałem się napisać do Was. A powodem jest coraz to gorsza szata graficzna i blazowanie sięgające granic absurdu. Ludzie, czy wyście powariowali? Jak tak dalej pójdzie to Wasze pismo będzie nadawało się dla przedszkolaków...

... Co do artykułów stricte muzycznych, to nie mam nic.

Janusz
(nazwisko i adres znane red.)

Bardzo szanujemy przedszkolaków, zwłaszcza tych na wysokich stanowiskach.

Protest

Niniejszym chciałem ostro zaprotestować przeciwko bezprecedensowej kampanii w magazynie NON STOP przeciwko reklamom. Wyście chyba na głowę upadli w tej walce z rzeczami, których nie zwalcza się, lecz zmienia.

Reklamy są we wszystkich porządnych pismach świata. Miałem taką okazję (a co?) oglądać nawet pisma muzyczne wydawane Tam

i były pełne reklam. I powiem Wam jeszcze, że te reklamy to mnie nawet bardziej interesowały niż inne rzeczy... W tych reklamach to były takie numery i tyle różnych fajnych elementów — że tak powiem — seksownych, że mógł stać. A ja to jestem w wieku, że te sprawy mnie akurat bardzo obchodzą, bo pewnie dojrzałem i myślę o tych rzeczach (wolno mi!).

Powiem Wam prawdę: gazety bez atrakcyjnych graficznie reklam to nie gazety.

Mój protest jest bardzo poważny i chyba przy następnej okazji napiszę do Wydawnictwa „Epoka”, które jest nad Wami i do innych takich. Kończę i proszę, abyście nie oceniali mego listu cynicznie i złośliwie jak to jest czasami, bo ja się nie chcę wstydu najeść.

Dawajcie więcej reklam!
Tomasz „B”
(nazwisko i adres znane red.)

PS. Piszcie więcej o seksie!

Najzupełniej poważnie rozpatrujemy możliwość umieszczania seksownych reklam. Zaczniemy od gołego górnika.

Hej,
Wy już jesteście słabi, przecznicie swój nakład na piśmko metalowe. Przeglądając NS coś wymyśliłem!

Frajerzy i chamy
Idźcie do mamy!
Dobranoc,

Metal
Polska

Dobranoc.

Pamiętajcie, polska zdrowa młodzież słucha tylko polskiej muzyki ludowej i klasycznej. Prawdziwy Polak nigdy nie będzie żadnym „skinem”, „punkiem”, „hippiesem” czy inną małą!

Polska tylko dla Polaków!
Prawdziwy Polak
Katowice

Prawdziwy może być tylko grzyb i „Opowieść o prawdziwym człowieku”.

26 września 1988
godzina 20.22

Przeczytałem wrześniowy numer NON STOP-u (po dwóch latach przerwy) i wyrażam ten śmieszny gawędzi — i stwierdzam co na (lewna, długopis mi przestał pisać) — stwierdzam co następuje:

To jest dobra gazeta.

Człowiek

(„tłumaczenie” listu)

26 Września 1988 godzina 10.04
Przeczytałem wrześniowy numer NON STOP-u (po dwóch latach przerwy) w czytaniu tej śmiesznej gazety i stwierdzam co na (k... długopis mi przestał pisać...), stwierdzam co następuje:

To jest dobra gazeta.

Człowiek.
redaguje
WOJCIECH SOPOREK

List Miesiąca tym razem nie nadzedł.

Czy heavy metal przystoi wykonać kobietom? Były różne próby — wszędzie, ale chyba nie w PRL. Dziewczyna, która nas odwiedziła, wyglądała rzeczywiście bombowo, z oczu jej źle patrzy, twierdzi, że pogubimy portki, jak zaśpiewa. Tyle tylko, że poszukuje paru innych, równie czadowych panienek do grania na instrumentach. Dlaczego niby nie mielibyśmy jej pomóc? Uważajcie więc, poukrywane po piwnicach gitarzystki, palkerki czy na czym tam jeszcze gracie — **Monika czatuje na Was pod warszawskim tel. 480306.** O ile poważacie WASP, Kiss i Mötley Crüe.

NON STOP

Nr 12/195/XVII

00-018 Warszawa, ul. Hiberna 11, tel. 27-80-81 wewn. 48, telex: „Kurier Polski” 814725, Wydawnictwo „EPOKA”. Redaktor magazynu — **ZBIGNIEW HOLDYS, sekretarz redakcji — WOJCIECH SOPOREK** oraz zespół: **JERZY BOJANOWICZ, MIROSŁAW MAKOWSKI, JAN SKARADZIŃSKI i FILIP LOBODZIŃSKI. Stali współpracownicy:** SŁAWOMIR GOLASZEWSKI, PIOTR BRATKOWSKI, KRZYSZTOF WACŁAWIAK, REMEK KWIATKOWSKI, WŁODZIMIERZ KLESZCZ, TOMASZ PIWOWAREK (Kanada) i ADAM GRZEGORCZYK. Opracowanie graficzno-techniczne — STEFAN SUDA, korekta — ŻUZANNA WINNICKA, sekretariat redakcji — JANINA DOBROWLAŃSKA. **Dyżury:** Holdys — pon. 10-13, Soporek — pon., wt., czw. 11-13, Makowski — pon. pt. 11-13, Skaradziński — wt. 12-14, pt. 11-13, Bojanowicz — pon., czw., pt. 10-11, Lobodziński — śr. 11-13.

Biuro Ogłoszeń: Warszawa, ul. Szpitalna 8, tel. 27-50-40, 27-50-49, Targowa 58, tel. 19-29-49, Wrocław, ul. Świdnicka 36, tel. 355-69; Kraków, ul. Batorego 14, tel. 33-57-01; Poznań, ul. Libelta 26, tel. 52-05-35; Szczecin, ul. Wojska Polskiego 68, tel. 271-36; Katowice, ul. Słowackiego 16, tel. 53-70-81 (2) wewn. 9; Gdańsk, ul. Grunwaldzka 76/78, tel. 41-63-38; Lublin, ul. Rynek 18, tel. 289-14. **Cena ogłoszeń:** tekst — 1 słowo — 120 zł, wymiarowe — 1 cm kw. — 200 zł. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Nie zamówionych rękopisów nie zwracamy.

Dom Słowa Polskiego
INDEKS 36701 Zam. 4145/CD. U-40. Nakład 179 369

Rock KOBIEC 1988



TONI CHILDS

Joni Mitchell



"Dream Of Life" est. pour Patti et Fred Smith, le



TRACY CHAPMAN

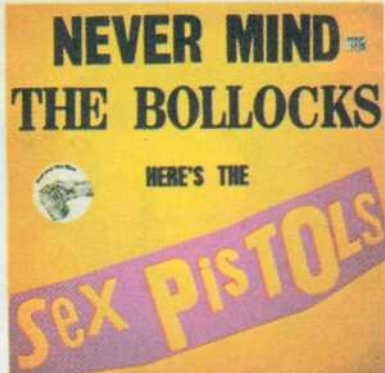


Carly Simon

i nie
tylko



X:MAK

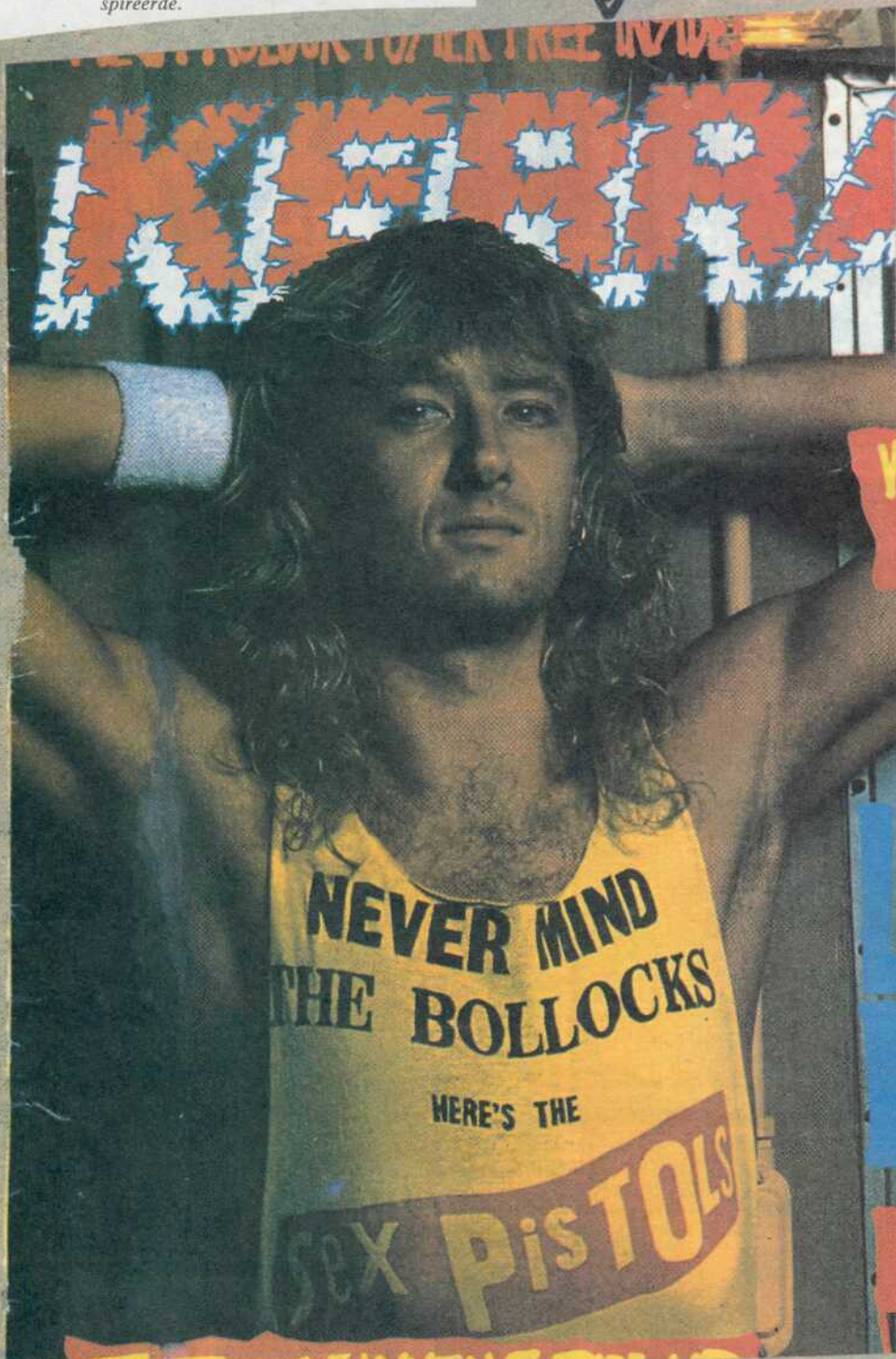


▲ Sex Pistols, "Never Mind The Bollocks Here's The Sex Pistols", 1977. De provocerend lelijke hoes, gemaakt door Jamie Reed, die Saville teleurstelde en Brody inspireerde.

SCISSORS =
= ART ©

X MAKE ©. 88

NEVER mind THE Metal

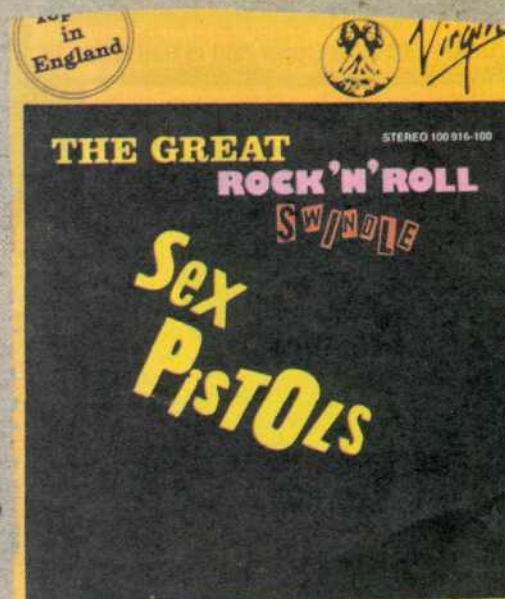


1988. Megadeth nagrywa z udziałem Steve'a Jonesa własną wersję „Anarchy In The U.K.” (LP „So Far, So Good... So What!” oraz singiel i video-clip), nieświadomie, jak utrzymuje Dave Mustaine zmieniając kilka wersów tekstu.

Anthrax proponuje interpretację „Friggin' In The Rigg'n” (maxi-singiel „Make Me Laugh”), dorzucając trzy tekstowe grosze do oryginału. Ponoć również grupa Poison szykuje swoją wersję utworu „God Save The Queen”.

Punk. Thrash. Heavy metal. It's only rock'n'roll.

KW



JOE ELLIOTT: (DEF LEPPARD)

1981: ROSS HALFIN

KERRANG, NO 208
PAŹDZIERNIK * 1988.
FRAGM. PIERSIUSZ STR.
*(OCTOBER)

Mittlerweile schon ihre eigene New-Wave
Legende: Sex Pistols